MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 10 (49) WARSZAWA, 5 GRUDNIA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

POLSKA MYŚL WYCHOWAWCZA

PRZYGOTOWANY przez ministra oświaty prof. Grabskiego projekt nowego ustroju szkolnictwa stał się przedmiotem rozstrząsań publicznych. Społeczeństwo zdaje sobie sprawę lepiej, niż przed wojną, że o sprawie reformy edukacji publicznej trzeba myśleć inaczej, niż się myśli o bieżących sprawach politycznych, czy gospodarczych. Widzimy robotę, która sięgnie skutkami w daleką przyszłość i rozstrzygać będzie o dalszych losach cywilizacji polskiej. Reformujac system wychowania publicznego, mamy na myśli dokonanie zmiany w konstytucji duchowej przyszłego Polaka, pragniemy stworzyć pewne zmiany w typie przeciętnym, lepiej uzdatnić go do zadań, jakie ma do spełnienia w cywilizacji swojej w zmienionych warunkach dziejowych. Na całość połączonych z tem zagadnieniem spraw umysł patrzeć musi ze znacznej wyniosłości; nie starczy tutaj punkt widzenia osobisty, stanowy, partyjny; każdy, po chwili zastanowienia — pojmuje, że sprawa tyczy przyszłych pokoleń, w których zatrze się nasze dzisiejsze ja i że wzruszyć w sobie trzeba myśl człowieka wiecznego.

Myśl publiczna, znajdująca wyraz w prasie, powołana jest przedewszystkiem do wypowiedzenia się w przedmiocie samego celu i ogólnych założeń. Dla prawodawcy byłoby wielką pomocą, gdyby tak ważna reforma odbywała się w atmosferze powszechnego uświadomienia właśnie co do celów.

W żadnej bodaj dziedzinie twórczości cywilizacyjnej nie występuje tak jasno, jak w dziedzinie wychowania, zagadnienie stosunku jednostki do narodu. Bo jakże wyminąć tutaj fakt, że przez wychowanie jednostek wychowujemy naród? Jest to sprawa istotnie faktu, którego się nie wyminie doktryną, że wychowujemy w jednostce człowieka (wogóle), a gdy go dobrze wychowamy, to naród sam się w nim znajdzie. Daleko prościej będzie, gdy sam wychowawca (względnie prawodawca wychowania) wprost postawi w celach rodzimą cywilizację, w której jednostka ma pracować. Prościej pod względem praktycznym i naukowym.

Jednostka nie jest czemś psychicznie oderwanem, lecz jest komórką swojej cywilizacji. Wszystko jedno, jak filozoficznie będziemy rozumowali: przez jednostkę do narodu (jako celu ostatecznego), czy — przez naród do ludzkości (jak chcą teoretycy wolności powszechnej), zawsze ta jednostka tyle będzie warta, ile wartości w sobie wytworzy przez d z i a ł a n i e na rozrost rodzimej cywilizacji. Umieć twórczo działać na rzecz rozwoju tej cywilizacji — oto cel, jaki może postawić człowiek swemu doskonaleniu się i wychowaniu swego dziecka. Wyobrażać zaś sobie możność wyrastania na wielkość twórczą bez związku z jakąś macierzą, a więc bez związku z zagadnieniem przydatności dla niej, jest to zajęcie umysłowe, godne mieszkańca Dżungli, który tak właśnie wyobraża sobie stosunek do drzew, po których skacze.

Sprawa przydatności dziejowej wiąże zagadnienie z miejscem i czasem. Oczywiście przedmiotem wychowania jest człowiek, ale człowiek pewnego gniazda i pewnych przeznaczeń dziejowych. Co zrobić, żeby jednostka i naród były czemś współtwórczem i pracowały wydatnie na rozwój obopólny swoich osobowości przez sharmonizowanie swoich psychik—oto kwestja zasadnicza, z natury rzeczy — narodowa.

Kiedy mowa o wychowaniu narodowem, powstaje najczęściej spór o to, czy godzi się zniekształcać dziecko „szowinizmem", tworzyć narodową tabliczkę mnożenia, narodową etykę i t. p. Jest to nieświadome nieraz karykaturowanie wielkiej idei, podsunięte świadomie przez bojowców kosmopolityzmu. W czasach Komisji Edukacji Narodowej nie można jeszcze było tak pokpiwać z Narodu, jak teraz i... z samej nauki wychowania. Oczywiście dyscyplina sama jest sztuką powszechną, ale chodzi o co innego, o p o l i t y k ę wychowania wogóle i szkolnictwa w szczególności. Wychowawca musi mieć świadomość narodową, szkoła musi być instytutucją narodową, to znaczy muszą mieć świadomość: materjału, z którego mają formować człowieka, celu do którego robota

ich zmierza i środków. Na to wszystko odpowiedź może dać tylko myśl narodowa.

Wychowanie narodowe jest systemem gospodarczym, stosowanym w dziedzinie najważniejszej, bo obejmującej duchowość społeczeństwa, produkującym psychikę, która jest motorem dziejów. Jest ona gałęzią gospodarki narodowej, polegającą na umiejętnem przygotowaniu sił psychicznych i moralnych, czerpanych z ludności, do skomplikowanych zadań cywilizacji. Wychowanie dobywa te siły nie skąd inąd, tylko z dziedzictwa historycznego (materjał), ono musi wiedzieć, gdzie ducha dziejów i charakteru narodowego szukać, znać dokonywujące się zmiany w społeczeństwie i zrodzone potrzeby i dobrze rozumieć, do jakich zadań młode pokolenie ma być dostosowane. Wychowawca musi być ściśle zespolony z życiem cywilizacji, w której gospodaruje. A ta—pomimo pozorów sprzecznych—nie da się improwizować dowolnie na wzorach obcych. Musi wyciągać soki z pnia rodowitego i zarówno punktu wyjścia jak i zadań szukać w swojem rodzimem środowisku.

O wychowaniu często się mówi tak, jakby jednostka zawieszona była w próżni, albo co gorsza—jakby naród krążył gdzieś bez orbity poza systemem innych ciał narodowych. Zapomina się o tem, że narody nietylko są konsumentami cudzej cywilizacji, ale że muszą przedewszystkiem być współzawodnikami. Który z nich nie sprosta swoją siłą wnętrzną pochodowi świata, ten siłą bezwładu musi wpaść drugiemu w drogę, rozbić się, jako swoista struktura i stać się pognojem gospodarki cudzej. Najgorsza przysługa, jaką można zrobić ludzkości i sobie.

Naród polski, jako pająk snujący swoją własną cywilizację i za nią odpowiedzialny, ma przed sobą w sprawie wychowania dwa momenty refleksyjne: 1) jest młody, a współzawodniczyć musi z narodami starszemi wytrawniejszej kultury (moment historyczny), 2) położony jest geograficznie w taki sposób, że łatwo go zgnieść i tylko doskonała kultura etyczna może mu zapewnić życie. Oto są dwa główne motywy, które nakazują nam zwrócić szczególną uwagę na system wychowania, od którego zależy: 1) czy dopędzimy w rozwoju kulturalnym sąsiadów, z którymi jednakie zadania mamy wykonywać i 2) czy zdołamy zrobić z siebie mocną istność moralną.

To jest przyczyną, dla której państwo narodowe bierze w swoje ręce system wychowania publicznego, to jest przyczyną, że społeczeństwo uświadomione taką wagę przywiązuje do tego systemu. To było źródłem faktu, utajonem w zmyśle samozachowawczym narodu, że po wszystkie czasy wybitni wychowawcy polscy stawali się mężami stanu, wszyscy zaś istotni mężowie stanu byli zarazem wychowawcami. To było tajemnicą zjawiska, że myśl filozoficzna w Polsce brała zawsze kierunek wychowawczy, upatrując najwyższy stopień prawdy i piękna w ideale obywatela, jako twórcy narodu.

Z. WASILEWSKI

POLSKA I RUMUNJA

Wycieczka parlamentarzystów polskich do Rumunji jest niewątpliwie wypadkiem politycznym, który będzie miał dalsze następstwa w stosunkach między dwoma państwami; powinna się ona stać równocześnie punktem wyjścia dla konsekwentnej i planowej pracy, zmierzającej do bliższego poznania się między dwoma narodami.

Parlamentarzyści polscy przekonali się naocznie o dwóch rzeczach: o wielkiej sympatji dla Polski, jaka istnieje wśród klas oświeconych Rumunji i o podobieństwie temperamentów dwóch narodów. Przyjęcie, jakiegośmy doznali przeszło wszelkie oczekiwania. Na posiedzeniu uroczystem w parlamencie mogliśmy się byli przekonać, że zrozumienie znaczenia sojuszu polsko-rumuńskiego, oraz uczucia przyjaźni dla Polski są wspólne wszystkim odłamom opinji publicznej. Witał nas tam nietylko rząd w osobie p. Bratianu, nietylko stronnictwo rządzące obecnie, lecz także wszyscy przedstawiciele opozycji parlamentarnej pp.: gen. Averescu, prof. Iorga i dr. Lupu. Fakt ten tembardziej zasługuje na podkreślenie, że walki partyjne są w parlamencie rumuńskim bardzo silne.

Bawiąc w Rumunji czuliśmy się, jak u siebie, a to nietylko dlatego, że w charakterze i temperamencie dwóch narodów są duże podobieństwa, lecz także dlatego, że wyrosły one na tej samej kulturze łacińskiej. Mimo różnicy religijnej wytwarza to tak daleko idącą bliskość sposobu myślenia i odczuwania, iż zrozumienie się wzajemne jest bardzo łatwe.

Dla polityków wszakże, myślących o przyszłości państw, ponad to wszystko wysuwa się fakt wspólności interesów między dwoma państwami. Polska i Rumunja stanowią rzadki przykład dwóch narodów sąsiednich, które nie mają między sobą żadnych sporów granicznych, a dzięki sytuacji geograficznej i tradycji historycznej są skazane na ścisłą współpracę i ścisłe współdziałanie.

Państwo polskie zrodziło się z wielkiej wojny europejskiej, Rumunja dzięki tej wojnie zwiększyła swe terytorjum o 113%. Obydwa narody są zatem zmuszone do obrony porządku rzeczy, wynikłego z wielkiej wojny, bo narażenie tego porządku w jednem jakiemkolwiek miejscu zagraża całemu nowemu ustrojowi Europy. Stąd wynika, że zarówno Rumunja, jak Polska, muszą się przeciwstawić dążeniom Niemiec do przywrócenia przedwojennego stanu rzeczy, a dalej, że zarówno Rumunja, jak Polska, są zainteresowane w tem, by ustalać dobre, pokojowe stosunki ze swym wschodnim sąsiadem.

Dążąc do utrwalenia obecnego stanu terytorjalnego w Europie wschodniej, są obydwa państwa z konieczności i natury rzeczy pierwszorzędnym czynnikiem pokoju.

Przewidując wszelkie możliwości, jakie gotuje przyszłość muszą się one stać także potężnym czynnikiem na wypadek, gdyby ktoś chciał gwałtem naruszyć ustrój europejski, oparty na traktatach, zawartych w r. 1919. Rumunja i Polska zajmują jednolity blok terytorjalny, obejmujący blizko 700 tysięcy kilometrów kwadratowych (Rumunja 300 tys.; Polska 386 tys.) opierający się o Bałtyk i morze Czarne i zamieszkały przez blizko 50 miljonów ludzi (Rumunja 18 milj., Polska 28 milj.). Pod względem gospodarczym obydwa kraje mogą doskonale zorganizować swe współżycie i swą współpracę.

Ażeby zorganizować odpowiednie współdziałanie polityczne nie wystarczą wszakże wysiłki i zabiegi polityków. Trzeba, ażeby zostały one poparte przez szerokie

warstwy ludności. I na to właśnie pragnąłem zwrócić uwagę na tem miejscu. Obydwa narody powinny się wzajem poznać i zbliżyć. Trzeba, by z naszej strony rozpocząć systematyczną pracę, zmierzającą do tego, aby opinja polska zainteresowała się Rumunją, abyśmy poznali naród rumuński, nietylko jego politykę, lecz także jego pracę gospodarczą, jego życie kulturalne i twórczość naukową i artystyczną, jego wierzenia i dążenia.

Wśród uczestników wycieczki do Rumunji powstała myśl zorganizowania stowarzyszenia, któreby podjęło zadanie powyższe. Skoro stowarzyszenie takie powstanie, winno ono znaleść jaknajwiększe poparcie szerokiej opinji polskiej.

STANISŁAW KOZICKI

NASZE PSYCHOPOMPOSY

STAŁYM motywem najnowszej, dla Polaków po polsku drukowanej literatury żydowskiej, jest przeobrażanie psychiki polskiej. Miesięcznik „Skamander" w swoim okresie burzy i parcia stale ten motyw wysuwał. Przyświeca on również wszystkim Wittlinom i Pomperom w ich pracach poszczególnych. W przedmowie do osławionego swego przekładu „Odyssei" p. Wittlin wprost mówi: „W Polsce twórcy nowych zwyczajów w poezji mają przedewszytkiem jedno święte zadanie: przeobrazić wygląd psychiki polskiej". W najświeższej tegoż p. Wittlina książce, którą tu mam omówić, p. t. „Wojna, Pokój i Dusza Poety"—motyw ten również nie daje autorowi spokoju, a w jednem miejscu doprowadza go nawet do takiego rozpaczliwego okrzyku: „Okazało się, niestety, że w psychice polskiej nie zaszły żadne gwałtowne zmiany".

Z tych i tym podobnych powiedzeń jasno widać, jak wielkiej wagi jest owo „święte zadanie" Żydów, prace swe po polsku drukujących. Dusza polska jest obecnie przedmiotem szczególnej opieki żydowskiej. Na drodze do nieznanej swej przyszłości, w sposób, zaiste nieoczekiwany, spotkała ona wspaniałomyślnego Hermesa Psychopomposa (przewodnika dusz), który ją w poczuciu świętego swego obowiązku gwałtem za rękę chwyta i na drugą stronę prowadzi. P. Józef Wittlin jest jednym z najgorliwszych Psychopomposów, musimy przeto bliżej pracy jego się przyjrzeć, ażeby tej tak niewdzięcznej, opornej psyche polskiej ukazać prawdziwe oblicze niecierpliwego jej przewodnika.

Nasz Psychopompos podaje się, naturalnie, za Polaka — to przedewszystkiem! — owszem, w trzydziestej trzeciej potędze Polaka. Jakże inaczej mógłby zdobyć zaufanie wędrownej, mającej się przeobrazić duszy polskiej? To też na każdym kroku widnieje tu „nasza ojczyzna", „nasza historja", „nasz polski język", „polska literatura od morza do morza"(!), „nasza twórczość", „legenda ziemi naszej" — i t. d. Po pewnym czasie czytelnik spostrzega, że tych „naszych" jest stokroć więcej, niż przedmiot pracy wymaga. Zaczyna to być nużące, potem niesmaczne, następnie podejrzane, aż wreszcie sam autor potyka się o własną żarliwość i w wyliczaniu swych partykularyzmów takie pali zdanie: „Do Pana Boga modliłem się, jako dziecko po polsku..." A no, tu już jesteśmy w domu! Oczywisty przypadek to zrządził, że Józio modlił się po polsku. Ten rownież przypadek wywarł tak oczywisty a fatalny wpływ na styl Józia Psychopomposa. Ktoby na zatrzęsienie tych „naszych" nie zwrócił uwagi, temu styl p. Wittlina niewątpliwą autora narodowość ukaże. Albowiem styl—to człowiek.

Del Sarte dzieli gestykulację rąk ludzkich na trzy sfery i według nich uczy poznawać główne rysy charakteru. Gesty od głowy i do głowy—to gesty intellktualizmu, a czasem kłamstwa, gesty od piersi i do piersi—to gesty duszy, serca, szczerości i szlachetności, oraz gesty od brzucha i do brzucha—to gesty natury grubej i niskiej. Styl jest gestem pisarza. Według tego podziału określając, muszę o stylu p. Wittlina powiedzieć, że jest on od brzucha i do brzucha, przez co przydomek jego—to raczej Gastropompos pomimo jego psychopompich ambicyj. Jest on, istotnie, tylko jednym z przewodników fonetycznych wielkiego Brzuchomówcy ghetta.

Tematy do rozprawek obrane wprowadziły p. Wittlina w dostojne towarzystwo Wojny, Pokoju, Poezji, Przyrody, Ludzkości, Narodów, Boga, Prawa i tym podobnych wielkich osób i uosobień. Autor obraca się w tem towarzystwie w sposób swoisty i znamienny. Boga łokciem trąca pod bok. Przyrodę palcem tyka w podbrzusze. Przyjacielsko grzebie Duchowi w „narządach trawienia". Klepie Ludzkość po tłustych pośladkach. „Ssie krew z najobrzydliwszych ciał" Wojny. Do Narodu przepija „spermą kultury estetycznej". I tak dalej. Słowem zachowuje się „swobodnie", jak przystało świeżo wymydlonemu bankierowi na salonach arystokracji. Takim oto stylem trywjalnym nasz Psychopompos na każdej stronicy zaznacza, że nic mu nie imponuje—równemu wśród równych.

Zdumiony i wstrętem zdjęty czytelnik aryjski zaczyna w pamięci swej doszukiwać się rodowodów stylu p. Wittlina. Usłużny autor i w tem pytaniu z szybką mu nadbiega pomocą. Już na stronicy 48 lirycznie roztkliwiony z takim do własnej przeszłości zwraca się rozełkanym wyrzutem:

„Ach, raju utracony! Czemuż nasz praojciec Adam nie zachorował na czerwonkę, nie struł się, lub nie udławił tem fatalnem jabłkiem z drzewa poznania dobrego i złego? Czemu się obżarł tym cierpkim owocem nasz praświntuch i na deser miał jeszcze z tego płciowe rozkosze, na nasze nieszczęście?"

Słusznie. Z piśmiennych zabytków cywilizacji ludzkiej w tym jedynym, po wszystkie czasy wyjątkowym zabytku, potrafił jednak odnaleźć prawzór swojego stylu „nasz" w prostej linji prawnuk „praświntucha".

Styl odpowiada ściśle wyobraźni, uczuciowości i umysłowości autora. Najprzebieglejszy nawet Psychopompos nie zdoła się z pod tego prawa wyłamać. Do zagadnień wojny i pokoju, moralności i sumienia, kultury i barbarzyństwa, ducha i przyrody p. Wittlin przystępuje z wyobraźnią rzezaka, paproszącego cielęta, z uczuciowością kleszcza, pokojowo żywiącego się krwią zwierzęcą, z umysłowością murzyna, który pod zewnętrzną zjawisk powłoką nic dojrzeć nie umie. Jako typowy przykład rozumowań autora przytoczę tu jego drwiny na temat działań wojennych. Powiada on: „Żaden jenerał sztabowy nie bierze udziału w akcji t. zw. kompanji szturmowych. To są grube, ordynarne czynności wojenne". Możnaby z równą słusznością zarzucić p. Wittlinowi, że w zaciszu swego gabinetu przy czarnej kawie napisał książkę, ale trud wyrobienia do niej papieru, maszyn, czcionek, trud składania, drukowania, broszurowania i sprzedawania — innym zostawił. To są grube, ordynarne czynności wydawnicze.

Na poziomie tego proletarjackiego przeciw wojnie argumentu znajdują się wszystkie bez wyjątku rozumowania i sądy p. Wittlina. Umysłowość typowo żydowska,

przewyższająca murzynów tylko sprytem oszukańczym, arogancją i swoistym brudem moralnym. Tego brudu w książce p. Wittlina jest tak dużo, że przekładanie stronic sprawia wręcz fizyczną odrazę, jakby się liczyło stos śledźmi cuchnących i lepkich banknotów, które całą dzielnicę żydowską przewędrowały. Porównanie to dochodzi aż do progu tożsamości duchowej. Zasób twierdzeń, zaprzeczeń i argumentów, charakter stylu, wyobraźni i ornamentów u wszystkich pisarzów żydowskich jest ten sam, jakby je biła jedna, ukryta poza eiruwem, mennica potajemna.

Rasowy brud autora stokrotnie jeszcze powiększa jego również rasowa arogancja, z którą on się pod narodowość polską podszywa. Można sobie wyobrazić, jakie ma poglądy na polskość ten prawnuk... Adama. Z pośród dziesiątków fałszywych i ostentacyjnie głupich z tego zakresu twierdzeń autora przytoczę dwa średniego, więc typowego kalibru. P. Wittlin mówi: „Przez półtora wieku cała inteligencja narodu polskiego wytężona była w kierunku odebrania mocą tego, co kiedyś wzięła jej obca przemoc. Stąd u Polaków taka wielka, nieomal religijna adoracja miecza, karabeli, szabli". Ten mojżeszowy bibljoman, gdy o historję polską chodzi, sięga pamięcią tylko na półtora wstecz wieku. Robi się to, zresztą, ze strony żydów i masonów powszechnie i celowo. Nieco dalej autor dodaje: „...pomstę wpajały w serca polskie najpiękniejsze testamenty ojców narodu, wpajały tak długo, aż przemieniły ją w groźną, straszliwą miłość ojczyzny". Rodowód patrjotyzmu prawdziwie żydowski.

Naturalnie, nasz Psychopompos jest gorącym pacyfistą, wielbicielem Ligi Narodów, wszechziemskich stanów zjednoczonych—i tym podobne. Jednakże, jako „Polak", musiał uczynić pewne ustępstwo na rzecz wojska, o czem tak sarmackim tonem mówi: „Nikt nie zaprzeczy wielkiej dekoratywności dobrze maszerujących wojaków. Malowniczość pięknie umundurowanej piechoty, maszerującej przy dobrej muzyce, działa nie tylko na fantazję dzieci. Takie parady mogą znaleźć doskonałe zastosowanie przy różnych uroczystościach. A co dopiero konnica! Byleby zbytnio nie męczyć niewinnych koni".

Lubię czasami poirytować tych naszych krajowych Psychopomposów, więc naprawdę żałuję, że efekt ostatniego zwłaszcza zdania o niewinnych koniach zupełnie dla uszu żydowskich przepada. Każdy Polak będzie się przy tem zdaniu pokładał ze śmiechu, ale Żydy „con due occhi", jak mówią Włosi, czyli szerokiemi oczami będą na śmiech nasz patrzyły, nic z niego nie rozumiejąc.

Nareszcie traktat swój o wojnie i pokoju takim pan Wittlin kończy elegijnym okresem:

„Potem będziemy, jak bracia, siedzieli za stołem na wspólnej uczcie narodów i wzniesiemy tam staropolski toast: „kochajmy się!", nie tylko przy wódce, ale i przy wychylaniu wspólnego kielicha żywota, na którego dnie jest sporo goryczy".

Ponieważ wódką tylko w bethamidraszach wznosi się toasty, więc już dziś, „przy wychylaniu" tego lirycznego kielicha możemy p. Wittlinowi jego własną mową na całą wieczność powiedzieć: „Do miłego widzymisze, kochany panie Józo! Żyć nie jest koniecznie..." *)

. . . .

Zajmuję tak długo uwagę czytelnika książką bezwartościową, trywjalną i brudną. Czynię to świadomie, albowiem książka ta — to objaw, za którym stoi całe ghetto pisarzów żydowskich, udających Polaków i robiących nam nową literaturę, nową kulturę i nową psychikę polską. Wszyscy oni takim samym językiem się posługują, jak p. Wittlin i tem samem rozumowaniem. Wszyscy na jednym stoją poziomie umysłu, ducha i wyobraźni. Wszyscy do jednej należą armji prowokatorów i oszustów.

Przytoczone wyżej błazeństwa i brudy stylowe i duchowe p. Wittina w zestawieniu ze stałem jego powyływaniem się na Chrystusa, Boga, tradycję polską i t. p. wyraźnie świadczą o prowokacyjnym charakterze książki. Komu by jeszcze oszustwo w niej zawarte wątpliwem się zdawało, temu na zakończenie przytoczę dowód bezsporny.

P. Wittlin używa całego zasobu plugawej swej wyobraźni, drwin i djalektyki, żeby zohydzić wojnę, a jednocześnie dobiera najtkliwszych, najcieplejszych słów dla rewolucji rosyjskiej. Sapienti sat.

Wojna światowa ze wszystkiemi swemi okropnościami tragicznym jest, ale jawnym i czystym aniołem w porównaniu do ohydy gwałtów, tortur, podłości, morderstw i błota rewolucji rosyjskiej. Dla Żydów jednak inna istnieje zasadnicza tych dwóch zjawisk różnica. Tam, na wojnie biły się ze sobą uzbrojone narody gojów. Tu zaś, w rewolucji te miljony gojów — więźniów, starców, kobiet i dzieci żywcem ze skóry obdzieranych — to są bezbronne żertwy Bronsteinów, Apfelbaumów, Sobelsohnów, Nachamkesów, Unschlichtów, Cohnów i Firułkesów. Dlatego rewolucja tak się delikatnym Wittlinom podoba, a wojna tak im się niepodoba.

Tym oto styksowym ponikiem do bram Hadesu prowadzą mającą się przeobrazić duszę polską krajowe nasze Psychopomposy.

ST. PIEŃKOWSKI

---

*) W przedmowie do osławionego swego przekładu „Odyssei" maksymę łacińską „Navigare necesse est, vivere non est necesse" p. Wittlin tak tłumaczy na „polski nasz": „Żeglować jest koniecznie, żyć nie jest koniecznie".

MISTRZ HISTORJI WSPÓŁCZESNEJ

KLAUDJUSZ Karloman de Rulhière (1735-1791), dziejopis polskiej anarchji, rosyjskiego despotyzmu i francuskiej nietolerancji, nie ślęczał ani jednego trimestru w niczyjem seminarjum. Syn i wnuk inspektorów policji w Isle de France, po wyjściu z kolegjum Ludwika Wielkiego, wstąpił do żandarmerji gwardji, służył lat parę na tyłach, a nie na żadnym froncie, jako adjutant osławionego łupieżcy i rozpustnika, marszałka Richelieu'go (1758—9). Formalnie opuścił służbę wojskową w r. 1765, ale przedtem jeszcze zajrzał za kulisy dyplomacji w dalekim Petersburgu, gdzie zawędrował w charakterze sekretarza bar. Breteuila (1760 r.). Szykowny Breteuil sprawował misję potrójną: ministerjalną, sekretną i pikantną, które wszystkie zmierzały do tego celu, aby starą cesarzowę Elżbietę przez intrygi, a jej następczynię w. księżnę Katarzynę przez karesy utrzymać w wierności sprzymierzeńczej przeciwko Prusom. Miał więc co obserwować młody żandarm gwardzista w razie, gdyby się misja udała. Los zrządził inaczej. Rulhière przeżył i z czasem opisał rewolucję pałacową 1762 roku. Jeżeli potem wracał z Breteuilem, to zwiedził Białystok i Warszawę; później towarzyszył temuż ambasadorowi do Stokholmu; za-

kosztowawszy aury pełnej intryg partyjnych i korupcji, ukończywszy, rzec można, szkołę życia, wrócił do Francji, gdzie oddał się literaturze i studjom.

Z czasem, kiedy go wybrano do Akademji (1787 r.) wielu wzruszało ramionami nad niezasłużonem wywyższeniem; wiedziano, że składał rymy dla hrabiny d'Egmont, chwalono, na odpowiedzialność Woltera, jego satyryczno-dydaktyczny *Discours les disputes*: ale to wszystko były błahostki, nie usprawiedliwiające powołanie w poczet nieśmiertelnych nawet najkrytyczniejszego z „filozofów", najśmielszego z salonowców i najzłośliwszego z dowcipnisiów, jakim był pan Rulhière, choćby ten pan żył w najlepszych stosunkach z Rousseau'em i Chamfortem, ba nawet choćby miał poparcie Breteuila i Neckera — i samego królewskiego brata (Monsieur). Wtajemniczeni wiedzieli, że Rulhière pisze dzieje współczesne, więc — musieli się z nim liczyć. Nasamprzód, w latach 1765 — 6, skomponował „Anegdoty" o rewolucji, która Katarzynę II wyniosła na tron, a jej męża przyprawiła o śmiertelną „kolkę hemoroidalną". Tu spożytkował dostarczone przez ajentów konfederacji barskiej pierwsze informacje o Poniatowskim. Praca ta zwróciła nań uwagę ministra Choiseul'a, ale światła dziennego nie ujrzała za życia autora, bo ajenci Katarzyny w rodzaju sprzedajnego literata Grimma wystarali się o zakaz publikacji aż do śmierci carowej. Gdyby nie stanowczy opór autora, doszłoby może do zniszczenia rękopisu.

W r. 1768 za namową Choiseula rozpoczął Rulhière studja nad historją Polski i wschodniej Europy. Miało to być literalnie dzieło *ad usum Delphini*, badacz jednak traktował swą pracę inaczej: przez lekturę i szperaninę archiwalną myślał się przygotować do misji politycznej wśród konfederatów barskich, walczących o w o l n o ś ć z d e s p o t y z m e m rosyjskim. Kiedy tę misję—ku wielkiej szkodzie Polski i Francji — zagarnął Dumouriez, Rulhière pozostał przy swych badaniach, jako płatny historjograf, a poprowadził je w duchu nawskroś niezależnym, wcale nie *ad usum Delphini* w zwykłym sensie tych wyrazów. Owoc przybrał postać 4-ch tomów w kilkunastu księgach, a treść była tego rodzaju, że znów trzeba było czekać, aż wypadki rewolucyjno-wojenne pozwolą na jej publikację pod auspicjami i na zamówienie Napoleona (1807). Taki sam drażliwy charakter miała i trzecia praca historyczna Rulhiére'a, o odwołaniu Edyktu Nantejskiego.

Rulhière czerpał swą wiedzę o Polsce, Rosji, Turkach, Europie Środkowej, z trojakiego źródła: z tradycji piśmiennej, z aktów—i z tradycji ustnej. Ksiąg w rodzaju Lengnicha, Puffendorfa, Nordberga i t. p. miał poddostatkiem do opracowania pierwszych rozdziałów, poświęconych duchowi dziejów Polski i Moskwy; zresztą i te rozdziały pogłębił, zasięgając żywych świadectw u tłumaczów urządzeń polskich oraz rosyjskich. Akta, które miał pod ręką, tworzą dzisiaj na Quai d'Orsay setki voluminów: sam dział polski do r. 1775 z górą trzysta tomów, a nasz autor zaglądał i do korespondencji saskiej, gdańskiej, tureckiej etc.; zresztą Rulhière skoncentrował swe badania przeważnie na latach. które przeżywał od r. 1752, a z dawniejszych epok wydobywał tylko niektóre uzupełnienia archiwalne (np. pierwszą wiadomość o poddańczym apelu Sobieskiego do Francji w r. 1672). Najciekawsze przecież i po dziś dzień nieocenione odkrycia czerpał z opowiadań samych aktorów historji. Bystry, ujmujący, z mężczyznami taktowny, wobec kobiet śmiały, zapuszczał sondę wgłąb psychiki ludzi, z którymi się stykał, i wydobywał z nich zeznania, jakichby nie powierzyli żadnym dokumentom.

I tak: ledwo zawitał do Paryża Adam Krasiński, by prosić o pomoc dla Barzan, Rulhiére biegnie doń po wiadomości o genezie ruchu narodowego. Przybywa do Wersalu w r. 1769 książę Karol kurlandzki—historyk zaraz wchodzi w stosunki z nim, i z ajentem konfederatów Gomólińskim. Wiadomo, jak wydatną rolę gra w „Dziejach anarchji" Andrzej Mokronowski: to wszystko on sam niemal podyktował autorowi podczas swej misji we Francji r. 1769 — 70. Z Wielhorskim, posłem konfederatów, urządził Rulhière prawidłową wymianę usług: Polak wyjaśniał, jak umiał, krajowe instytucje, Francuz do spółki z księdzem Mably'm pomagał mu w układaniu „Manifestu" przeciwko Rosji. Dochodziło czasem przy tej współpracy do kłopotliwych odkryć. Wielhorski, kreatura Jerzego Mniszcha, głęboko doń przywiązany i przekonany o jego patrjotyzmie, nie chciał wierzyć, że ów protektor i wuj przed kilkunastu laty (1755) podkopywał w kraju i nad Bosforem takie same poczynania patrjotów, z jakich potem wytrysła konfederacja Barska. Słysząc takie herezje puka do kraju o wyjaśnienie, a wyjaśnienie to nie mogło wypaść inaczej, jak w duchu nagiej prawdy, zgodnej z dokumentami, a przykrej dla protektorów pana posła.

Cały zastęp informatorów spłynął do Paryża z pierwszą porozbiorową emigracją: Rulhiére w lot chwyta sposobność, aby wybadać z Kazimierza Pułaskiego, jakie były zamiary jego zmarłego ojca, jaki przebieg obrony Berdyczowa i Okopów św. Trójcy; Ignacego Bohusza sonduje o jego przeżycia na tułaczce na Węgrzech; od księżnej T. Sapieżyny, regimentarzowej litewskiej, dowiaduje się o wybitnej roli w całym ruchu Anny Jabłonowskiej; nie bardzo tym opowieściom daje wiarę, ale dla miłej interlokutorki zachowuje uprzejmie kącik w historji. Są poszlaki, że nie pominął w swych wywiadach i księcia Adama, generała ziem podolskich — od niego to pochodzi autentyczna wykładnia dążeń familji; pozytywnie wiemy, że od Ksawerego Branickiego wydobył drastyczne szczegóły o petersburskich skandalach Stanisława Augusta. Marszałka Paca interpelował o powody ogłoszenia bezkrólewia; do Berlina, Drezna i Wiednia jeździł umyślnie, aby poznać charakter i tendencje tych dworów— i tak dalej możnaby snuć analityczny wywód pochodzenia tych różnych wiadomości, których pisarz „Anarchji" nie mógł wyczytać z papierów, a które zebrał z ust żywych ludzi. Wszechstronny i wolny od uprzedzeń w nawiązywaniu pouczających znajomości, Rulhiére dzięki temu właśnie wzniósł się na stanowisko prawdziwego historyka spółczesnego pokolenia. W „Anegdotach" był jeszcze pamiętnikarzem, pamflecistą, poświęcającym ścisłość dla złośliwej sensacji, w „Anarchji" on, człowiek Choiseul'a, choć nie ma szacunku dla Poniatowskiego, zdobywa się na zrozumienie i głęboką ocenę dążeń Czartoryskich. Losy konfederatów śledzi oczywiście z serdeczną sympatją, ale w przeciwieństwie do chorego Rousseau'a nie nasiąka ich przesadami, bohaterstwo zwie bohaterstwem, nierząd—nierządem. Zażyłość z ks. Mablym mocno oddziałała i na syntetyczne poglądy Rulhiere'a i na jego metodę pisarską, stąd przenikający jego książkę nastrój ludzki, moralny i stąd obfitość retoryki, a nawet próbek krasomówczych w opowiadaniu.

Wpływ niedokończonych „Dziejów" Rulhiére'a na umysły u nas i zagranicą był ogromny i trwały. On, mimo krytyki, jakiej poddano jego dzieło pośmiertne w Akademji Francuskiej (1810), był wyrocznią dla dwóch pokoleń historyków, przynajmniej w zakresie epoki anarchji. On natchnął Mickiewicza i Słowackiego. Dziś dzieło jego przestało zadowalać, jako opracowanie: zwykły to los dzieł naukowych, że ich konstrukcja z czasem się przeżywa. Ale jako wzór świetnej budowy, jasnego i barwnego, na Wolterze wzorowanego stylu, jako źródło wiedzy, bezpośrednio wyssanej z życia, świecić będzie historja Rulhière'a wszystkim dziejopisom współczesności. Polska Odrodzona takiego Rulhière'a jeszcze nie zna.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

ZIELONE ŚWIĄTKI NA PANIEŃSKICH SKAŁACH

ANTEK grał na harmonji:
uha!
po srebrnej polanie radosny wzrok gonił:
tańczyły z Krowodrzy, z Zwierzyńca dziewuchy —
hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop

Tańczyły zielone i graby i buki
a księżyc rechotał, że Antek się upił
Skał Panieńskich las
kłaniał mu się w pas
hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop.

Furczały dziewuchom spódnice na wietrze
pohuki od buka do buka szły w przestrzeń —
I księżyc czepicę przekrzywił srebrzystą
przez zęby sykliwie jak andrus se świstał:
hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop.

Wśrubował w klawisze opuchłe paluchy —
basami atłasu pół lasu rozdmuchał
i tonem czerwonym szelestnych rejestrów
pierś nocy, jak nożem, przeszywał naprzestrzał:
hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop.

Zziajane stawały z Krowodrzy dziewuchy
siadały odsapnąć chwileczkę pod bukiem —
Na grabie srebrzystym siadł księżyc jak puhacz:
przedrwiwał, pokpiwał, że Antek się upił,

A Antek grał — wciąż grał..
las Panieńskich Skał
kłaniał mu się w pas
raz — wraz, raz — wraz — —

Wiosna — hej! — wiosna! — buki zielone, buki!
hej, graby zielone, graby!
wami się Antek upił
i grał, grał:
hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop.

Kamienna Madonna zstąpiła ze skały
Dzieciątko oddała z Krowodrzy dziewusze:
na srebrnej polanie zapląsał Cud biały —
w rączęta pulchniutkie zaklaskał Jezusek — —

Nóżeczki malutkie z pod jasnej sukienki
migały trzewiczkiem: śnieżyste łasiczki — —
Antkowi łzy z oczu, jak gwiazdy przez błękit
spadały w pluszowe kląskania słowicze:
hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop, hop-hop-hop.

JÓZ. AL. GAŁUSZKA

PANIKA

(Z CYKLU: OPOWIEŚCI KOWBOJSKIE)

RUDY Cummins, przeklęty owczarz, jak go nazywali kowboje, wracał z miasteczka do swego *rancho* [1]). Jechał ostrożnie, wybierając starannie drogę wśród rozsianych na dnie doliny odłamków granitu i białego kwarcu. Gdy mimo to koń potknął się, Cummins zaklął siarczyście i obejrzał się trwożnie na przytroczony za siodłem płócienny worek.

Podmuch wiatru przyniósł zza niskiego grzbietu porykiwanie wielkiego stada i łopot tysięcy racic. Cummins ściągnął cugle. Czas jakiś nadsłuchiwał. Sarkastyczny uśmiech przewinął mu się pod nawisłym rudym wąsem.

— Panowie kowboje mają, zdaje się, mały kłopocik— mruknął, jakby się chciał podzielić tą radosną nowiną ze swym kościstym, hakonosym dereszem. Zsiadł, uwiązał krótko cugle koniowi i począł się piąć ku małej przełęczy.

Kowboje mieli kłopocik... Cummins przykucnięty za głazem patrzył z zadowoleniem, jak spędzone dla „cięcia" [2]) olbrzymie stado, niepewne, trwożne a rozjuszone, kołysało się, mełło nieustanie, starając się napróżno znaleźć wyjście z kotliny, gdzie każdy przesmyk bacznie był strzeżony przez konnych kowbojów.

Grań, na której czaił się Cummins, spadała ostro ku kotlinie. Wąski, zygzakowaty wąwóz o pionowych niemal ścianach prowadził w bok, wrzynając się ukośnie w zbocze. U jego wejścia tykowaty „Głód" Nilson, jeden z kowbojów z „Latającego K." [3]), palił spokojnie fajeczkę i śmigał od czasu do czasu rozpuszczonem lassem, odpędzając rozbiegane stadka, odłączające się od głównej wzburzonej masy i starające się przedrzeć ku górom.

Wielki Bill Parker, forewan i range boss [4]) objeżdżał posterunki, nakazując ostrożność i unikanie wszelkiego niepotrzebnego straszenia półdzikiego bydła. Podjechał do Nilsona.

Cummins podpełznął na sam skraj, aby chwytać urywki rozmowy.

— Coś mi się nie podoba wygląd tego stada — mówił Parker. — Całe szczęście, że nie mamy między nami „zielonych rogów" [5])! Pamiętasz, jak ten smyk z Kanzasu, co to pracował na „M X", przeląkł się biegnącego nań stada i.... Urwał zmieszany, że się tak głupio wyrwał.

Tak, „Głód" pamiętał to zbyt dobrze. Dawno to było. Sami byli młodzikami, ale już zrośli się z siodłem, zżyli z surową prerją. Chłopak z Kanzasu był nowincjuszem. Gdy stado rzuciło się ku strzeżonemu przez niego przesmykowi — stracił głowę i począł strzelać z rewolweru. To był początek paniki, — oszalałego, ślepego popłochu, w którym zginął „Buck" Thompson, druh

[1]) Ranchos, hodowle stepowego bydła, noszą zwykle nazwy właściciela.

[2]) Podziału według wypalonych na skórze znaków właściciela.

[3]) „Latające K." = — *K.* —

[4]) Stary kowboj. Naczelnik „roundup" wielkiej obławy na rozsiane bydło.

[5]) Niedoświadczonych kowbojów.

serdeczny Nilsona, zmiażdżony tysiącami ostrych racic, wbity w zaczerwieniony piach. Od tego czasu coś się w „Głodzie" złamało. Chmurny był jakiś, skłębiony w sobie, jak ściśnięta sprężyna i — niebezpieczny. Ta koścista, żylasta ręka, która się wiecznie bawiła krótką, zczerniałą fajką zbyt pochopnie spadała błyskawicznym ruchem do masywnej kolby krótko przytroczonego rewolweru.

Zmieszany Parker na gwałt szukał nowego tematu.

— A wiesz „Głód", Ted, który powrócił dziś rano z miasteczka z zapasami, mówił mi ciekawe rzeczy o Cumminsie. Słyszał, jak stary Simpkins, opowiadał, że Cummins sprowadził sobie paczkę dynamitu. Odgrażał się podobno, że zwali ostrą skałę w Bobrowej dolinie do Czarnego Potoku i nie puści wody na nasze północne pastwiska. Pamięta skunks jeszcze naszą zeszłoroczną „rozmowę", w której stracił dwa zęby.

— Albo może dowiedział się jakoś, że to Mohave był tym wilkiem, który pod Mesa Pintada narobił zeszłej jesieni takiej kaszy z jego owcami".

Podsłuchujący za skałką owczarz sprężył się jak do skoku. Ręka jego ześlizgnęła się ku prawemu biodru. Palce zaciskały się kurczowo, chwytając naprózno nieistniejącą kolbę rewolweru. Był bez broni. Strasznym wysiłkiem zdławił rwący mu się ze ściśniętej krtani zwierzęcy krzyk.

A więc to tak! Więc to Mohave, jeden z tej przeklętej paczki z „Latającego L." tak go urządził! Już wtedy, po wypadku opowiadania jego meksykańskich pastuchów wydały mu się nieprawdopodobne. Ten wilk, który, mimo krzyku pastuchów, wył tak bezustannie na Mesa Pintada, aż oszalałe owce rzuciły się w popłochu w chmurną noc i rozpierzchły po górach zostawiając kilkaset trupów na dnie wąwozu — ten niesamowity wilkołak, o którym dotąd jeszcze opowiadają ze strachem i pośpiesznem żegnaniem się przesądni metysi—to był Mohave!

— Zemsta!

Leżał, dysząc ciężko. Krwawa mgła zalewała mu oczy. Nie czuł wrzynającego mu się w ciało ostrego piargu. Mordercze myśli kłębiły się pod krzaczastą, rudą grzywą. Jest bez broni, ale tam za nim, w dolinie za jego siodłem przytroczony dynamit! Wziąć parę „drążków", przyciąć krótko lonty, zapalić, rzucić w to zbite, kotłujące się stado. Nasycić oczy widokiem rozrywanego w strzępy bydła! Widzieć, jak przerażone stado rzuci się na oślep do ucieczki, tratując po drodze kowboji, i rozpierzchnie się tak, że wiele dni upłynie, zanim je zdołają znów spędzić...

Ale kowboje wiedzą już, że on ma dynamit. Zna on tych psich synów. Nie ustaną aż wytropią go i ustrzelą jak psa.

Zdawał sobie sprawę ze swej bezsilności, lecz nie mógł odejść. Nie mógł odłożyć zemsty, pokonać palącej mu trzewia wściekłości. Spłaszczony na grani wpijał się oczami w stado, w znienawidzonych kowbojów.

*

* *

Parker odjechał. Krążył znowu, przystawał przy rozsianych kowbojach, rzucał parę słów rady, czy żart jaki i jechał dalej. Spoglądał nieufnie na kłębiące się stado i potrząsał głową.

Wśród rozkołysanego morza rogów uwijał się spokojnie kościsty, śniady jeździec na krótkim, zwrotnym koniku. Wielki honor i ciężka odpowiedzialność „cięcia" przypadła, jak zresztą od lat wielu, Nortonowi.

Doświadczona to była para—ten metys o ptasim profilu i ten stary konik, tak znający swą służbę, że z wolno puszczonemi cuglami szedł nieomylnie za wybranem bydlęciem, wyciskał je coraz dalej na skraj stada, aż póki do wysforowanej poza obręb sztuki nie podleciał jeden z wartujących kowbojów i nie odpędził gdzie należy.

Tudna to była praca, żmudna, niewdzięczna. Czasem takie odłączone stadko przerywało się z powrotem ku głównej masie i trzeba było zaczynać na nowo,—znów wyławiać sztuki, i znów je odpędzać na bok, by pomału, ostrożnie formować nowe stadko.

Kowbojów było stanowczo zamało. Z trudnością dawali sobie radę. Formowane niedaleko od Nilsona stadko wciąż starało się powrócić do swych towarzyszy. Pilnujący kowboj ledwie się z niem mógł uporać. Wtem, gdy był na jednem skrzydle—drugie się urwało i pomknęło na oślep przed siebie. Kowboj krzyknął na Nilsona. Ten spiął konia i skoczył na przełaj. We dwóch poczęli zawracać niesforne bydło i przeć je z powrotem ku stokowi pagórka.

Lecz w tej chwili inne stadko, ze dwieście sztuk liczące, dojrzawszy broniony dotąd przez Nilsona wąwóz— rzuciło się w tę stronę. Nilson dostrzegł to zbyt późno. Gdy dopadł — już ostatnie sztuki znikały za załomem. Wpadł za niemi, roztrącał koniem, otwierał sobie drogę smaganiem lassa. Parł, by wyprzedzić i zagrodzić drogę.

*

* *

Szalona, radosna, krwiożercza myśl targnęła Cummins'em. Zsunął się trochę poza grzbiet, skulił i pognał wzdłuż wąwozu. Slizgał się, potykał, padał, biegł na czworakach, ranił ręce i kolana o skalne występy, znów się zrywał i bez tchu, charcząc głucho, gnał górą do miejsca, gdzie nad jednem ze zwężeń wąwozu zawisły luźne zwały granitowych bloków.

Dopadł wreszcie. Miotał się między rumowiskiem, patrzył, próbował, wybierał. Przyległ plecami do wielkiego bloku, krzywo osiadłego na wąskiej podstawie, naprężył potężne, kabłąkowate nogi i parł. Kamień drgnął. Wówczas Cummins odskoczył, jeszcze raz spojrzał na zwał nad samym skrajem i przyległ za wybranym kamieniem.

Po chwili zadudniło w wąwozie. Echa łomotały między pionowemi ścianami. Pędzone przez Nilsona stado wracało.

Cummins skoczył. Wsparł się znów o kamień, nogi wbił w piach i czekał. Prawie pod nim zadudniły racice. Na grube wargi rudego owczarza wykwitł drapieżny uśmiech tryumfu. Skupił się w sobie, skłębił, zaciął zęby, naprężył się cały, aż mu krew buchnęła do piegowatej twarzy i pchnął.

Kamień pochylił się wolno, przekręcił na niepewnej podstawie, zawisł na chwilę i runął. Nie spadł wprost — uderzył o zwał kanciastych granitowych brył, wstrząsnął niemi, poruszył, sunął się, toczył razem z niemi i raz jeszcze trzasnąwszy o skalisty zrąb spadł w lawinie odłamków i metalicznym gwiździe pryskających ostrych granitowych szczap, szurgotaniu kłębów sunącego się piargu.

Nilson zdarł konia. Ogromne bryły spadały na końcowe sztuki zbitego stada, łamały grzbiety, miażdżyły łby, żebra, nogi. Lecz oczy Nilsona były wbite w zrąb góry. Tam ponad nim mignęła przez sekundę głowa ludzka. W rozwianej skołtunionej grzywie błysnęły promienie słońca połyskliwym, mosiężnym blaskiem.

Targnął mundsztukiem, aż koń przysiadł, zwrócił go wstecz, wbił ostrogi w żebra i skoczył ku miejscu, gdzie zbocze było łagodniejsze. Wyrwał karabin z olstra pod nogą, zeskoczył z konia i chwytając się lewą ręką występów skalnych, piął się ku górze.

W tej krótkiej chwili gdy po pchnięciu kamienia stracił równowagę i wychylił się zanadto — dojrzał Cummins wzniesioną twarz Nilsona i poczuł na sobie jego spojrzenie. Zrozumiał, że się zdradził, że „Głód" wie, iż to nie była przypadkowa lawina. Był bez broni,—zresztą, czy mógł się mierzyć z Nilsonem, najlepszym strzelcem tych stron.

Wielkiemi skokami zbiegał w dół, zsuwał się po piargu, staczał, ześlizgiwał. W okropnym, zwierzęcym strachu rwał się ku swemu koniowi. Lecz deresz, chociaż spętany, odszedł był trochę w poszukiwaniu marnych pęczków suchej trawy i gdy Cummins trzęsącemi rękami rozplątał wreszcie końce uzdy i wskoczył na siodło, na przełęczy ponad nim widniało już śpiczaste sombrero Nilsona.

*

* *

Kowboje dostrzegli przerwanie się stadka, i pogoń za niem Nilsona. Był to jednak jeden z wielu normalnych epizodów każdego „round up", nikt więc na to nie zwrócił specjalnej uwagi. Wiedzieli zresztą, że „Głód" da sobie doskonale radę, a sami mieli „pełne ręce". Niepokój wśród bydła rósł; coraz trudniej było utrzymać je w ryzach. Gdy doszedł ich jednak głuchy łoskot staczających się brył i żałosne ryki ginącego bydła, zrozumieli, że coś tam w tym krętym, mrocznym wąwozie dzieje się dziwnego.

Bill Parker kiwnął na jednego z kowbojów. Skoczyli ku wąwozowi. W tej jednak chwili oszalałe stado wybiegło stamtąd i w straszliwej panice mknęło ku kotłującej się w środku doliny masie. Próżno kowboje starali się je zatrzymać, zwrócić chociażby. Gnane widmem unikniętej przed chwilą śmierci stado rwało na oślep, gotowe złamać, zgnieść, stratować wszelkę przegrodę, dzielącą je od towarzyszy, wśród których instynkt kazał im szukać obrony. Wpadło wreszcie, jak klin, uderzyło z impetem w bok zbitej, ryczącej trzody i parło wgłąb.

To przeważyło szalę. Morze rogów drgęło konwulsyjnym jakimś wstrząsem i zawrzało. Ruszone z miejsca przewalało się z początku wolno, potem coraz szybciej, wreszcie napierane wciąż z tyłu, runęło naprzód ku szerokiemu przesmykowi, prowadzącemu w dół na stepy.

W tej chwili z tyłu za stadem, z za wału pagórków buchnął głośny, potężny huk. Nie było jednak czasu na domysły, pytania.

— Tu była „robota" — pełno jej.

Przesmyk był strzeżony przez trzech kowbojów. Trzech ludzi przeciw tej groźnej, rwącej lawinie. Z dwóch stron pomknęli kowboje na pomoc, by zabiec drogę rozbieganemu stadu.

Lecz Parker zrozumiał, że rzecz jest beznadziejna, że nikt tej masy nie powstrzyma, że dalszy opór byłby samobójstwem. Przez głuchy łomot tysięcy racic przedarł się jego okrzyk, rzucony całą mocą potężnych płuc. Trzej kowboje zawrócili konie i pomknęli ku zboczom. „Krótki" Jim Brady w jedną stronę, — „Tex" Proston i Norton, który w porę przebił się przez stado, — ku drugiej.

„Krótki" dobiegł do zbocza i obejrzał się. Z jego gardła wyrwał się straszny, nieludzki okrzyk.

Stary koń Nortona potknął się i runął. Metys skoczył, lecz pęd był zbyt wielki — zachwiał się i upadł. Głowa Nortona uderzyła o kamień. Leżał bez ruchu.

Blady, dygocący, z rękoma zaciśniętemi koło kuli siodła, patrzył „Krótki" na bezwładne ciało przyjaciela, na nadbiegającą zwartą, żywą lawinę. Był bezradny. Mowy nie było aby mógł zdążyć z pomocą.

Na krzyk „Krótkiego" Preston spojrzał wstecz. Dostrzegł upadek Nortona. Strach, instykt samozachowawczy, pędziły go naprzód ku zboczu — ku własnemu ratunkowi. Chwilę tylko, krótką, okropną chwilę, wahał się chłopak z Texasu. Zdarł konia, zawrócił.

Gdyby Norton nie zemdlał! Wyciągnąłby rękę — spotkał rękę Prestona, krótkie, nieznaczne szarpnięcie i metys siedziałby za siodłem zbawcy. Lecz teraz! Zeskoczyć? — gdy stado już dobiega! — Podnieść z siodła? — Tak, gdyby miał siłę Parkera!... Preston dopada, ździera konia o parę kroków od leżącego Nortona, wychwytuje rewolwer i pali między uszy swemu koniowi.

Zsunął się z padającego wierzchowca, skoczył ku metysowi. Chwycił go za spodnie, za rwącą się w strzępy koszulę, za włosy. Wlecze ku drgającemu jeszcze koniowi, ciska bezwładne ciało wzdłuż grzbietu zwierzęcia i pada nań, przykrywając je sobą. Płaszczy się, kuli, czuje straszne uderzenie w udo, potem w łopatkę, słyszy dokoła tupot, ryk, klekotanie zderzających się rogów. Potem cisza, spokój, noc.

— Daj mu jeszcze whisky—mówi Parker.

„Krótki" dygocącemi rękami otwiera szczęki Prestona i leje mu do gardła piekący płyn.

„Tex" ksztusi się, kaszle, otwiera oczy i wodzi przytomniejącym wzrokiem po kole brunatnych, skupionych twarzy.

O parę kroków od niego siedzi na kamieniu Norton z głową okręconą wzorzystą chustką i uśmiecha się. „Drewniana Twarz" uśmiecha się! Dziwi się Preston.

Usiłuje wstać, czuje rwący, ostry ból w łopatce i udzie, i opada na zdeptaną trawę. Lecz ból ten cuci go ostatecznie. Zdaje sobie sprawę wreszcie, gdzie jest, czuje, że łopatka musi być porządnie rozorana racicą, że noga jest bezwładna. Pewnie złamana—myśli dziwnie spokojnie—no, a zresztą wszystko all right!

Metys wstaje i chwiejąc się zlekka, podchodzi do leżącego chłopaka. Wyciąga rękę.

— Dzięki Tex.

— Ot tak sobie — spokojnie. On zawsze taki. To ci kowboj! myśli „Tex" i uśmiecha się z dumą. Tak mu jakoś wesoło. Co tam noga — furda! — Miesiąc, dwa — i gotów! Żyje! Nie chciało mu się umierać.

Obok stoi Nilson wsparty na karabinie. „Tex" przypomina sobie jego pogoń za uciekającem stadem, huk spadających kamieni, ryki bydła. Zwraca się do tykowatego, ponurego towarzysza.

— Co to była za heca z twojem stadkiem?

— Nic wielkiego. Cummins zakradł się i zrzucił parę kamieni... Mało i mnie się nie dostało.

— No i uciekł pewnie? — fala wściekłości zaczęła napływać ku śniadym policzkom zapalczywego chłopaka.—Znów ten przeklęty owczarz—myśli ze złością.

— Nieee, — ciągnie Nilson — zdarzył mu się wypadek. Wiózł dynamit za siodłem. Koń upadł na kamieniach i dynamit wybuchnął.

Odruchowo, bezwiednie gładzi Nilson lufę karabina.

Parker, pochylony nad Prestonem, spojrzał ostro na ten charakterystyczny ruch starego zabijaki, potem w przenikliwe, wpadnięte oczy. Jedno oko mrugnęło. Parker drgnął. Z pod krzaczastych brwi powiódł okiem po skupionych, zawziętych twarzach towarzyszy, — wreszcie rzekł twardo, przecinając jakby czyjeś wątpliwości:

— Tak, zdarzył mu się wypadek...

G. N. ORDON

LIBERUM VETO

Słownik nekrologowy.—Muezzini.—Oślepnięcie.—Reforma szkolnictwa. — Hodowla ludzi do wszystkiego i do niczego. — Z jednej tylko zmiany wielka zasługa. — Szkoła chemiczno-przemysłowa. — Kasy chorych jako chore kasy.

SĄ pewne wypadki, które nastrajają rozdźwięczne dusze polskie na jeden wspólny ton. Należą do nich zgony i pogrzeby znakomitych rodaków. Polacy mogą im poskąpić uznania i chwały za życia, ale zapłacą hojnie, czasem rozrzutnie, po śmierci. Naruszewicz zrobił słuszną uwagę: „Wasz to zwykły obyczaj: cierń w życia przeciągu, a potem martwe wieńczyć zwłoki na posągu". Uwagi tej nie można ściśle zastosować do Żeromskiego, bo żadnym „cierniem" społeczeństwo go nie zraniło, przeciwnie, otaczało go wielką sławą. Jednakże pomiędzy tą czcią, jaką okazywało żyjącemu, a tą, do jakiej się wzniosło wobec zmarłego, zachodzi znaczna różnica. Tam był zachwyt, tu ubóstwianie tak wielkie, że ono w nim uznało krynicę najszczytniejszych natchnień i najpotężniejszych sił duchowych Polski. Rzeczywiście wspaniały to był talent i wspaniały złożony mu hołd. Ale w tym hołdzie zbyt mocno odzwał się szablon stylu nekrologowego, ustalonego dla ludzi wielkich. Nasi apoteozowcy mają pewien zapas superlatywów, przymiotników pochwalnych w najwyższych stopniach, pewne, że tak powiem, stałe blankiety uwielbień, w które tylko wpisują nazwiska uczczonych nieboszczyków. Porównawszy ich artykuły i mowy nad grobem Sienkiewicza i Żeromskiego, łatwo dostrzeżemy, że one były utkane według tego samego wzoru, a jednak ci dwaj pisarze są niepodobni do siebie w żadnym rysie. Ktoś niebiegły w rozróżnianiu ich dzieł, a odurzony kadzidłowym dymem trybularzów dziennikarskich, jest przekonany, że Polska zrodziła geniuszów, różniących się tylko nazwiskami. Zmarłym najrozmaitszego rodzaju i wartości śpiewane są te same egzekwie i grane te same marsze żałobne; ale obchody pogrzebowe w kaplicach i na cmentarzach literatury nie powinny stosować się do tego zwyczaju i odmieniać go tylko strojem karawanu, orderami na poduszkach i liczbą orszaku. Boleśnie pomyśleć, że Żeromski umarł, ale smutno również, że mimo pokrycia jego trumny wieńcami pięknych frazesów, nie wiadomo, kim on właściwie był. Może kiedyś o tem się dowiemy. Tymczasem słyszymy i zapewne długo jeszcze słyszeć będziemy tylko pobożne wołania muezzinów z minaretów dziennikarskich: Mahomet jest wielki prorok!

Podobne modły mahometańskie rozlegają się codziennie z galeryjek kilku poślednich meczetów prasy na cześć p. Piłsudskiego. Dziwna rzecz, jak człowiek o bystrym wzroku może na pewne widoki być ślepym. P. Piłsudski, który nieraz dowiódł, że widzi wyraźnie rzeczywistość nie spostrzega, w jakim cuchnącym sosie pływa i tonie Po pięknych kartach swej historji zapisuje lub pozwala zapisywać dalszą jakąś bezmyślną bazgraniną, z której każdy wyraz budzi albo smutek nad rozpadem tęgiego charakteru, albo śmiech nad potwornym przerostem samochwalstwa. Omal że nie ze szpicrutą w ręku, ale z ostrem napomnianiem zjawił się u Prezydenta, podczas, gdy jego wojskowi wielbiciele napadli posła Strońskiego na ulicy w Warszawie i redakcję *Dziennika* w Wilnie. Gdy był Naczelnikiem Państwa z woli narodu, nie pozwalał pociągać do odpowiedzialności redaktorów za najgwałtowniejsze na niego ataki. To był ładny, wyniosły styl. Gdy został tylko marszałkiem z własnej woli i panem na Sulejówku, pozwala swym ochotniczym pretorjanom napadać dziennikarzy za surową krytykę. Jaka to brzydka małość! Jakie to przykre zredukowanie się człowieka, który miał warunki i sposobność wyrośnięcia do wielkiej miary! Doprawdy, mówię szczerze, że mi p. Piłsudskiego, bardzo żal. Ani Kościuszko, chociaż był szarpany, ani H. Dąbrowski, chociaż był ogłoszony za zdrajcę i skazany na śmierć, nie uciekali się do tak mizernych sposobów walki i zemsty. A jednakże pomścili się na swych przeciwnikach strasznie — swoją wielką chwałą. Skromność wprowadza często ludzi na takie szczyty, na które ich nigdy nie wzniesie zuchwałość.

Projekt reformy szkolnictwa p. St. Grabskiego zajmuje słusznie od kilku tygodni uwagę społeczeństwa i prasy. Jest to bowiem sprawa pierwszorzędnej wagi. Nasze wychowanie publiczne w niepodległej Polsce weszło na manowce niedorzecznej oryginalności. Idealizm zamienił się w niem na idjotyzm. Mamy 762 gimnazja, kształcące 220,000 uczniów, z których zaledwie mały procent jest uzdolniony do wyższych studjów. Ogromna reszta niedouków albo nawet opatentowanych dyplomami uniwersyteckimi mierzynów rozłazi się po rozmaitych posadach, na których działa nieudolnie a często nieuczciwie. Najwybitniejszą cechą umysłową naszego społeczeństwa jest ogromny brak pracowników kwalifikowanych, to jest specjalnie przygotowanych do swego zawodu. Nasi robotnicy, rzemieślnicy, rolnicy, przemysłowcy, kupcy, urzędnicy, to olbrzymia masa kandydatów „do wszystkiego". Każdy z nich dziś może być szewcem, policjantem, urzędnikiem skarbowym lub kolejowym, nauczycielem, jutro krawcem, sklepikarzem, inkasentem, literatem i t. d., zależnie od tego, jakie zdobędzie miejsce. Nie dziwno też, że mamy tłumy bezrobotnych, partaczów spełnianego obowiązku, niedołęgów i szkodników. Nie wchodzę w szczegóły reformy, planowanej przez ministra Grabskiego, wystarcza mi jeden w niej cel — zmniejszenie szkół kształcących „do wszystkiego", a pomnożenie zawodowych, ażebym ją uznał za epokową. Może ona wyprowadzi nas z bezpłodnego dyletantyzmu, z pogardy dla pracy, z bezradności wchodzących w świat młodych ludzi, którzy nie wiedzą, co z sobą począć i wybierają sobie zajęcia według wyniku stukania w palce, według woli rodziców, rady znajomych lub przypadku, którzy wszystko robić mogą, a niczego dobrze zrobić nie umieją, którzy są zakałą urzędów, przedsiębiorstw, kantorów, fabryk, magazynów, stanowisk zwierzchniczych i podwładnych. Może każda instytucja, każdy warsztat, każda organizacja pracy znajdzie łatwo czynniki potrzebne, sprawne i sumienne. Może nasi emigranci, wyjeżdżający do obcych krajów, otrzymają korzystne zajęcia, odpowiadające ich uzdolnieniom i nie będą zmuszeni wynajmować swoich rąk do najcięższych robót. Może wreszcie Polska zacznie być płodną, wytwórczą, poważnie współpracującą w produkcji świata. Tej pożądanej przemiany zdoła dokonać tylko szkolnictwo urządzone celowo, zastosowane do potrzeb społeczeństwa i wymagań ogólnego rozwoju ludzkości. Bez niego pozostaniemy ciągle narodem dyletantów, amatorów, kandydatów do wszystkiego.

Bardzo pomyślnym krokiem na tej drodze jest utworzenie szkoły chemiczno-przemysłowej w Warszawie, jakich kraje zachodnie, zwłaszcza Niemcy, posiadają setki i z nich czerpią swoją potęgę ekonomiczną. Przeróbmy na podobne zakłady wiele niepotrzebnych gimnazjów, w których młodzież męczy się nadmierną filologją i matematyką, w których ogłupiana jest idjotyczną „heurezą", w których 100,000 dzieci chłopskich zdobywa wiedzę dla nich bezużyteczną. Bodajby p. Grabskiemu powiodła się operacja pedagogiczna i bodajby jakieś nieszczęsne „przesilenie" w rządzie nie oderwało go od niej. Niestety, nic nam nie ręczy, że może za tydzień lub miesiąc będzie on zluzowany, a następca przekreśli całą jego refor-

mę i wymyśli coś nowego, budzącego zachwyt klakierów radykalizmu, smutek społeczeństwa i śmiech Europy.

Zorganizowane według interesu i gustu tej radykalno-paradyzowej klaki Kasy chorych buchnęły strugami moralnego błota. Za dużo nagromadziło się go w rozmaitych dziedzinach naszego życia społecznego, więc nie będę już niem wywoływał wstrętu w czytelnikach. Powiem tylko ogólnie, co zapewne uznaje ogół, że nasze Kasy Chorych są obecnie kasami choremi, które trzeba leczyć, dezinfekować i ratować szczepieniami ochronnemi.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

O CZYSTOŚĆ MOWY POLSKIEJ

W POLSCE odrodzonej odbywa się niesłychany, oburzający gwałt nad pięknym i bogatym językiem polskim. Niedługo, jeśli nie wybuchnie żywiołowy, mocny gniew i protest ze strony całego społeczeństwa, piękna mowa polska, przebogaty język Kochanowskiego, Skargi, Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta i innych twórców naszego języka literackiego, stanie się najobrzydliwszym żargonem, nie lepszym od żargonu żydowskiego.

Przedewszystkiem ponosi winę rząd, który w swych stosunkach z narodem, wyrażanych w formie pisemnej, nie tylko nie dba zupełnie o czystość języka, ale jakby umyślnie usiłuje czynić z mowy polskiej jakiś ohydny żargon, dla ogółu niezrozumiały, a w duszach inteligentnych Polaków budzący usprawiedliwiony wstręt i oburzenie. Za przykładem z góry to samo czynią instytucje samorządowe; brak dbałości o czystość języka widzi się i w wydawnictwach książkowych i w prasie.

Wprowadzono u nas dziwną „oszczędność", stosowaną przy używaniu mowy polskiej, a żywcem zaczerpniętą z bolszewji. Zrozumiałe są i potrzebne, a niestety tak mało uwzględniane, „oszczędności" przy formowaniu budżetów państwowych i samorządowych, trudno jednak zrozumieć dziką oszczędność w druku, polegającą na tem, aby wszelkie dłuższe nazwy urzędów, instytucyj i t. p. oznaczać jedynie pierwszemi literami wyrazu, co się tak ogólnie upowszechnia. Zapominamy zupełnie o tem, że obecnie wszyscy mieszkańcy Polski są równouprawnionymi obywatelami, wszyscy ci obywatele muszą odczytywać i r o z u m i e ć okólniki, odezwy, obowiązujące ustawy, nakazy i t. p., wydawane przez urzędy państwowe i samorządowe, że obecnie większość tych obywateli od najmniej do najbardziej oświeconego czyta pisma i książki. Z całą pewnością stwierdzić można, że nawet zupełnie inteligentny czytelnik często traci dobrą chwilę na odgadywanie, co oznacza szereg liter, przedzielonych punktami, a cóż dopiero, gdy mowa o szerokim ogóle czytelników z warstw ludowych wsi i miast.

I rodzi się pytanie: w jakim celu wprowadza się te utrudnienia, te zagadki, niczem nieusprawiedliwione, czy dla względów oszczędnościowych? To byłoby więcej, niż śmieszne, zwłaszcza tam, gdzie się wydaje miljony na wydatki najniepotrzebniejsze, gdzie o poważnych oszczędnościach niema mowy.

Ale przejdźmy do sprawy o wiele poważniejszej. Gdybyśmy zadali sobie trud i zechcieli przejrzeć wszystkie pisemne wypracowania naszych, niemal bez wyjątku, urzędów, poczynając od biur ministerjalnych, skończywszy na najniższych—przekonalibyśmy się, jak strasznej zbrodni dokonywa się na pięknej, bogatej mowie polskiej. Wszędzie spotykamy niezliczoną masę wyrazów obcych, różnych nowotworów językowych, dla nikogo niezrozumiałych, wszędzie styl, składnia, stosowanie prawideł gramatycznych takie, jakich często powstydziłby się uczeń pierwszej klasy szkoły średniej, wszędzie jakieś potwory żargonu, karygodne skażenie języka. Niedbalstwo pod tym względem odbija się smutnie i w życiu, gdyż przeciętny obywatel, otrzymując do wiadomości podobnie redagowane papiery urzędowe, poprostu nie potrafi zrozumieć, o co chodzi, czego od niego wymagają, a to pociąga za sobą często b. nieprzyjemne dla niego następstwa.

Ze smutkiem stwierdzić należy, że i nasz język literacki dużo nieraz pozostawia do życzenia, rozumie się nie pod względem stylu, składu, prawideł gramatycznych, choć i takie błędy się spotyka, ale głównie przez zanieczyszczanie wyrazami obcemi, które łatwo zamienić się dają przez wyrazy czysto polskie. Stosuje się to zarówno do dzieł treści naukowej, jak i do beletrystyki.

Sprawa jest tak doniosła, że rząd powinien utworzyć jedną lub nawet kilka posad wybitnych językoznawców, którzyby mieli za zadanie zapoznanie się, w ciągu pewnego czasu, z dotąd używanym j ę z y k i e m u r z ę d o w y m polskim, oczyszczenie go z potwornych naleciałości, przeprowadzenie zamiany wyrazów obcych i nowotworów językowych na czysto polskie, dla każdego zrozumiałe, pozatem zaś musieliby dać pewien schemat papierów urzędowych, poprawnych pod względem stylu, składni i t. p.

Nawet przy najbardziej posuniętych oszczędnościach należy uczynić wszystko, aby w Polsce zachować i pielęgnować czystość mowy polskiej! Kierownicy biur, którzy tolerują dotychczasowy stan rzeczy, nie zasługują na to, aby ich tolerowano.

ANTONI TROCZEWSKI

Kutno

UŚMIECH POBŁAŻANIA

LICZNE protesty obywatelskie, ogłaszane w prasie przeciwko anarchicznym zakusom wojskowych, grupujących się koło p. Piłsudskiego, płyną z tego poczucia ludzi cywilizowanych, że nie można opinji publicznej zostawiać w kwietyzmie bez reakcji, inaczej bowiem zejdziemy do rzędu źle zorganizowanych kraików bałkańskich, czy południowo-amerykańskich, które niczemu się nie dziwią. Ta reakcja obywateli, która ze szczególną siłą zaznaczyła się w Poznańskiem, podtrzyma moralnie prasę narodową, przez Piłsudczyków teroryzowaną.

Wyrok sądu wojskowego, w sprawie napadu ulicznego trzech oficerów na redaktora „Warszawianki" posła St. Strońskiego, jest niejaką wskazówką, że władze skłonne są powściągnąć gwałt tyle razy na prasie praktykowany, a mający na celu dezorganizowanie społeczeństwa. Nie może budować państwa społeczeństwo, które sobie nie zdaje sprawy, że prawidłowe funkcjonowanie opinji jest pierwszym warunkiem życia publicznego.

Wysiłek prasy, broniącej w Polsce ładu, sensu i etyki, nie ma dostatecznego poparcia w organach władz państwowych. Cóż będzie np. ze sprawą „Dziennika Wileńskiego"? Redaktorzy pism narodowych, chroniących dobro państwa, bywają nieraz ścigani surowiej przez prokuraturę niż wrogowie zewnętrzni, którzy, jak niedawno widzieliśmy, odchodzą wolni z gmachu sądowego. To nieodróżnianie obrońców państwa od jego wrogów zewnętrznych i wewnętrznych wywiera zły wpływ na sfery, które potem terrorem chcą się uwolnić od kontroli prasy narodowej.

Dość wskazać, jak boleśnie skaziło się wskutek tolerowania wybryków p. Piłsudskiego poczucie polskie, czem jest żołnierz. Żołnierz jest kwalifikowanym obrońcą państwa. Gdy sobie kpi z państwa, przestaje być tym obrońcą; przeciwnie on je odsłania na wszystkie niebezpieczeństwa. Nie można tej prawdy zatrzeć anegdotą

o złych obyczajach, czy obłąkaniu. Rzecz objektywnie jest nie do zniesienia.

Budowanie państwa nie jest czynnością operetkową. Jest to wysiłek dramatyczny narodu. Uśmiech pobłażania byłby dowodem, że nawet nie wiemy, na jakiem widowisku los nas posadził.

PIŁSUDSKI I SZEPTYCKI

OSTATNIE występy, czy wybryki p. „pierwszego marszałka" Piłsudskiego i jego adherentów w armji wywarły, głębokie wrażenie na ludzi, poważnie się nad warunkami rozwoju naszego państwa zastanawiających.

O sprawach tych pisano dość dużo, choć naogół płytko i pobieżnie w prasie. Na uwagę zasługuje zamieszczony w krakowskim tygodniku „Hasło Narodowe" artykuł p. Jana Kozickiego, kapitana rez. W. P., oficera II brygady legjonów i uczestnika obrony Lwowa. Artykuł ten ciekawy jest przedewszystkiem ze względu na przypomnienie i ustalenie pewnych faktów, niezbyt dobrze znanych, czy raczej pamiętanych przez ogół.

W r. 1917 p. Piłsudskiego aresztowały władze niemieckie i osadziły w Magdeburgu. Niewiele osób pamięta, że stało się to na własne życzenie Piłsudskiego, a jednak sam on to stwierdził publicznie w Krakowie wobec paru tysięcy legjonistów. W sprawozdaniach z tej „spowiedzi", umieszczonych w ówczesnych pismach krakowskich znajdujemy ustęp tej treści:

...„Przez chwilę myślałem, czy nie pójść tałą metodą: na terenie okupacji austrjackiej myślałem o zajęciu z bronią w ręku Dęblina i trzymania go, aż do wymuszenia nowych układów.

Brak moich najpewniejszych pułków w okolicy Dęblina sprawił, że porzuciłem ten plan. Miałem decyzję wyjechania do Rosji i nawet przygotowałem sobie drogę. Ale tu znów honor wodza mnie zatrzymał i dlatego napisałem do Beselera list, że chcę dzielić los moich internowanych żołnierzy. Po liście tym zostałem zaaresztowany i moja czynna rola w życiu legjonów skończyła się".

Zupełnie kategoryczne stwierdzenie tego faktu zawiera też list, pisany przez p. Piłsudskiego do ks. Lubomirskiego z Magdeburga dn. 22. VII 1918. Znajdujemy tam słowa następujące:

„Wobec tego zaś, że sam prosiłem o to, bym mógł dzielić los tych, których na wojnę wyprowadziłem, nie uważałem za stosowne ani pytać o przyczyny, ani w jakikolwiek sposób protestować przeciwko aktowi".

Szeroki ogół nie zauważył tych kategorycznych twierdzeń p. Piłsudskiego, czy też o nich zapomniał. I niema w tem nic tak bardzo dziwnego, skoro o tem zapomnieć mógł sam p. Piłsudski. P. Jan Kozicki tak o tem pisze:

„I ten sam p. Piłsudski, który prosił Beselera o aresztowanie, zeznając w siedem lat później przed Wojskowym Sądem Okręgowym w roli świadka, na prowokatorskie pytanie adwokata — wskazuje jawnie i niedwuznacznie, że jakoby dzięki intrygom gen. Szeptyckiego on został aresztowany i internowany w Magdeburgu.

Posądza więc swego podwładnego o hańbiący czyn.

Generalski Sąd honorowy uznał też, że zarzuty były zupełnie fałszywe".

„Intrygi" gen. Szeptyckiego stanowią jednak odtąd jeden z artykułów wiary piłsudczyków, usprawiedliwiający ich do gen. Szeptyckiego nienawiść.

Fakty powyższe należy zapamiętać. Powstaje pytanie czemu przypisać dziwne zapomnienie p. Piłsudskiego. P. Jan Kozicki pragnie przypisać je Żydom i żydofilom z otoczenia p. Piłsudskiego. Oni to:

„okłamując go na każdym kroku, powodowali go do wszystkich mylnych posunięć i mów, których treści uczciwi zwolennicy jego się wstydzili. Celem tych żydowskich i żydofilskich doradców jest wywołać dyzorjentację i rozstrój".

Nie posiadamy żadnych danych pozytywnych, stwierdzających, czy też zaprzeczających słuszności powyższego poglądu.

TWÓRCZOŚĆ SAMARYTANINA

Z POŚRÓD chorób, niszczących ludność Polski, najwięcej ofiar zabiera gruźlica. Po niej największą klęską jest jaglica (egipskie zapalenie oczu), panująca epidemicznie w całym kraju. Leczenie jej jest tak trudne niemal, jak zapobieganie jej. Człowiekiem, który w naszych czasach stanął do walki z epidemją w obronie dzieci, głównie zagrożonych, jest prof. un. krak. dr. Emil Godlewski, obecnie senator. Rozpoczął tę piękną działalność jeszcze w czasie wojny, jako nadzwyczajny komisarz do walki z epidemjami. Znakomity biolog potrafi dzielić swój pracowity dzień między wykłady w uniwersytecie, wyjazdy na posiedzenia Senatu i pracę kuratorską nad wielkiemi zakładami: 1) szpitalem dla dzieci jagliczych w Witkowicach pod Krakowem i 2) zakładem leczniczym Uniw. Jagiellońskiego dla dzieci skrofulicznych w Zakopanem.

Prof. Godlewski wydał z zasłużonym z dr. K. Dadejem sprawozdanie z działalności Zakładu w Zakopanem. Dowiadujemy się z tego sprawozdania, że ten opiekun nieszczęśliwych dzieci, obok szpitala na 350 dzieci w Witkowicach, potrafił przy skromnych zaczątkach powołać do życia Zakład dla dzieci skrofulicznych w willi Orla w Zakopanem i rozszerzyć go tak, że okazała się potrzeba wybudowania trzypiętrowego gmachu. Gmach ten pod Nosalem na Bystrem, obok dwóch willi, zajętych dotąd przez zakład, jest już na ukończeniu.

Dzieci skrofuliczne noszą w sobie, głównie w gruczołach chłonnych, ogniska tuberkulozy. Oprócz takich są w zakładzie dzieci z gruźlicą kostną, z zamkniętą gruźlicą płuc, skóry, z zapaleniem wysiękowem opłucnej, zapaleniem gruźlicznem otrzewnej. Do końca r. 1924 leczyło się na Bystrem w zakładzie dr. Godlewskiego tysiąc dzieci (223,854 dni leczenia). Przeciętnie dziecko leczyło się 7 miesięcy. Całkiem uleczone były te, które mogły dłużej (10 m.) pozostawać. Takich było 42,2%.

Zakład służył całej Polsce. Najwięcej dzieci dał Kraków (416), Warszawa (219), Łódź (123). Od czasu zlikwidowania krakowskiego komitetu książęco-biskupiego, Zakład nie korzysta z zapomóg, nie bierze nic od Państwa. Instytucje, przysyłające dzieci, płacą od dziecka po 3—4 zł., za 9 dzieci płacili rodzice, za 8 rząd. Przy Zakładzie istnieje szkoła 2-klasowa. W r. 1919 min. skarbu odmówiło upaństwowienia tego pożytecznego zakładu ratowniczego, a jest to jedyne uzdrowisko tego typu dla dzieci w górach. Dźwiga go prywatnie Uniwersytet krakowski. Warto porównać, co się robi dla dzieci gdzieindziej. Np. Paryż utrzymuje nad morzem dwa wielkie sanatorja.

Nowa część zakładu, która wkrótce będzie otwarta, da pomieszczenie 250 dzieciom. Koszt budowy i urządzenia miljon złotych. Zdecydowano, że instytucje społeczne będą mogły nabywać udziały na budowę po 3.000 zł. (1 łóżko). Ponieważ koszt jednego łóżka wyniesie 4000 zł., więc Uniwersytet będzie dopłacał po tysiąc zł. od łóżka. Niestety wykupywanie udziałów idzie powoli.

Społeczeństwo powinno Uniwersytetowi dopomódz.

Działalność państwowa, przez b. Ministerjum Zdrowia, Komisarjat walki z epidemjami i obecną Dyrekcję Służby Zdrowia prowadzona, niejest wystarczająca. Społeczeństwo winno organizować się do walki samo. Na czele tych usiłowań stają w Polsce od czasu do czasu ludzie wielkiego serca, którzy stwarzają epoki w dziejach ratownictwa i szpitalnictwa. W ich rzędzie stanął prof. Godlewski, człowiek wielkiej wiedzy i wielkiego serca. Jego wytężona działalność jeszcze z czasów wojny na polu walki z jaglicą, a potem rozwinięta w Zakopanem w walce z gruźlicą, zasługuje nietylko na uznanie, ale przedewszystkiem na pomoc ze strony społeczeństwa. Jest to praca społecznie twórcza.

Dr. P. B.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

WE FRANCJI

Aczkolwiek wybory do parlamentu francuskiego, przeprowadzone dn. 11 maja 1924 r., dały zwycięstwo „kartelowi lewicy", nie zapewniły jednak Francji trwałych rządów, na większości lewicowej opartych. Od chwili wyborów czterokrotnie już przechodziła Francja przesilenia gabinetowe, czterokrotnie zmieniła skład osób, u steru polityki państwowej postawionych. Ostatni rząd Painlevè'go nie utrzymał się nawet przez trzy tygodnie.

Pierwszą, najbardziej widoczną przyczyną tego stanu rzeczy był niewątpliwie brak wewnętrznej spójności „kartelu", różnice pomiędzy poszczególnemi jego grupami tak wielkie, że ani razu nie zezwoliły na utworzenie rządu, obejmującego nietylko „burżuazyjnych" radykałów społecznych *(radicaux socialistes)* ale i socjalistów. To też już pierwszy premjer zwycięskiej lewicy, Herriot, usiłował mocniej spoić poszczególne stronnictwa „kartelu", wyciągając w tym celu z przedwojennej rupieciarni zardzewiałe narzędzie walki z Kościołem. Narzędzie okazało się niezdatne, fanatyzm antyreligijny nie potrafił zagłuszyć coraz widoczniejszych różnic programów gospodarczych i skarbowych, tembardziej, że dzięki skorej do zwiększania wydatków państwowych polityce rządu Herriota, położenie finansowe Francji stawało się coraz groźniejsze, coraz radykalniejszych wymagało środków naprawy. „Rząd Painlevè — Caillaux", który nastąpił po obaleniu rządu Herriota przez Senat, pogłębił istniejące różnice tak dalece, że premjer Painlevè, chcąc wskrzesić ginący „kartel", zdecydował się wreszcie utworzyć nowy rząd, tym razem bez Caillaux, z „uzgodnionym" między radykałami i socjalistami programem sanacji. Ustępstwa na rzecz socjalistów nie zapewniły jednak nowemu rządowi trwałości: już po dwóch tygodniach drugi rząd Painlevè'go znalazł się nieoczekiwanie w mniejszości (275 głosów za 278—przeciw), wskutek wyłamania się z solidarności partyjnej kilku posłów radykalno-społecznych.

Utworzony obecnie gabinet Brianda jest też, jak się zdaje, ostatecznem pogrzebaniem idei rządów „kartelu". Wprawdzie w gabinecie tym radykalno-społeczni w dalszym ciągu zachowują rolę kierowniczą (premjer, sprawy zagraniczne, wewnętrzne, oświata, praca), wprawdzie Painlevè utrzymał się na stanowisku ministra wojny, ale najważniejszą w chwili obecnej tekę skarbu otrzymał raczej do bloku narodowego, niż do lewicy zbliżony Loucheur, ministrem zaś marynarki został b. premjer Leygues, reprezentant umiarkowanej, do bloku narodowego należącej *gauche republicaine*. I jeżeli rząd obecny jest rządem miejszości (grupy popierające go liczą 236 posłów na ogólną liczbę 580), to niewątpliwie rachuje on raczej na ciche poparcie prawicy, niż socjalistów.

Tak więc „kartel lewicy", tyle szumnych głoszący zapowiedzi, utrzymał się, i to chromając nieustannie, zaledwie półtora roku. Nie czas dziś jeszcze na dokładny bilans jego rządów. Ale dziś już można rzucić na nie trochę światła zestawieniem cyfr następujących: w chwili dojścia do władzy rządu Herriota cena funta sterlinga wynosiła w Paryżu 67 franków, w chwili, gdy tworzył się „rząd Painlevé-Caillaux" — 93 franki, w chwili, gdy powstawał drugi rząd Painlevé'go—116 franków, dziś za funta płaci się już franków 130. A gdy frank spadał coraz niżej i niżej, polityka zagraniczna Francji wzbijała się ku wyżynom najzawrotniejszym, tam, gdzie już porzuca się wszelkie gwarancje materjalne, okupację Ruhry, strefy kolońskiej i t. p., gdzie najlepszem zabezpieczeniem przed najazdem staje się „duch", idea „międzynarodowej dobrej woli"...

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

JAKIE STRATY PONOSI POLSKA WSKUTEK NIEDOSTATECZNEGO UPRAWIANIA NAUK PEDAGOGICZNYCH?

W celu zorganizowania, ożywienia i ułatwienia polskiej pracy naukowej na polu pedagogji i stworzenia w ten sposób silnych podstaw teoretycznych dla przyszłego rozwoju naszego wychowania i szkolnictwa, powołał minister Rataj w r. 1921 do życia „Komisję Pedagogiczną Ministerstwa W. R. i O. P." i nadał jej statut, wedle którego zadaniem jej jest „praca nad rozwojem nauki o wychowaniu, ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb wychowania w Polsce, oraz praca nad rozwojem polskiej literatury pedagogicznej". Powołał do niej 26 osób, których grono rozszerzyło się z czasem przez kooptację. Działalność komisji ujawniła się w szeregu publikacyj, udzielaniu zasiłków na wyjazd paru osobom, próbach zorganizowania bibljotek itp.

Zbyt słaby oddźwięk znalazły dotąd hasła naukowej pracy na polu pedagogiki, w dziedzinie naszego szkolnictwa wyższego. W roku bieżącym, poza kursami państwowego Instytutu Pedagogicznego w Warszawie, w którym przeważa strona praktyczna, odbywają się bardzo nieliczne i często luźne wykłady z tego zakresu na uniwersytetach, a chociaż w niektórych uczelniach mamy nawet bardzo poważnych pracowników naukowych w tej dziedzinie, to przecież nie udało się wzbudzić nią szerszych zainteresowań, nie można dotąd mówić o powstaniu „naukowej szkoły". A są też uczelnie, w których pedagogika jest zupełnie zaniedbana, są uczeni wątpiący, czy pedagogika jest wogóle nauką. Nie myślę polemizować z nimi, bogata literatura Zachodu, a nawet i nasza, choć skromna, są wystarczającą odpowiedzią i świadczą, że głoszący podobne zasady nie znają zupełnie przedmiotu i mówią, jak ślepi o kolorach. Ograniczam się do rozważania postawionego w tytule zagadnienia strat, jakie ponosi Polska z powodu niedostatecznego uprawiania tych nauk.

Rozpatrywać je można z podwójnego punktu widzenia: czystej wiedzy i potrzeb społecznych.

Przedewszystkiem nie znamy naszej młodzieży. Pedologja u nas jest ledwie w zaczątkach, prac z tej dziedziny mamy nader mało. Nie znamy dokładnie naszej młodzieży, ani pod względem budowy i rozwoju cielesnego, ani pod względem właściwości umysłowych. A przecież materjał to niezwykle bogaty i ciekawy, przecież mamy rozmaite typy rasowe, autochtoniczne i napływowe, mamy bogactwo różnic kultury duchowej i materjalnej, rozmaitość warunków życia w różnych dzielnicach i obcych naleciałości, jakich napróżno szukać w społeczeństwach zachodnich.

Materjału do badać czysto teoretycznych, i to niezwykle ciekawego, bogatego i swoistego mamy obficie, pewne objawy, jako przejściowe, należałoby jak najrychlej zestawić, by pamięć ich nie zatarła się bez śladu. Czy jakikolwiek naród może się pochlubić takim typem, jak „Orlęta lwowskie", jedyne w swej miłości ojczyzny, a przecież tak rozmaite. Czy nie zasługują one na osobne studjum monograficzne, któreby dało wierny obraz, a nie poemat, ich pracy i życia, i w walkach ulicznych, i na polach regularnych bitew, i w klasie szkolnej wobec różnych nauczycieli, tak przed ucieczką na front, jak i po powrocie z krzyżem waleczności i gwiazdkami, świadczącemi o przelanej krwi.

Nie kwitną też u nas dociekania w kierunku samodzielnego rozwiązania naukowego szczegółowych zagadnień wychowawczych i organizacyjnych, rozwiązania samodzielnego, zgodnego z właściwościami naszej młodzieży, nakazami dziejowej tradycji i współczesnych potrzeb państwa. Zbyt często w najzawilszych zagadnieniach kieru-

jemy się intuicją lub uczuciem, albo ograniczamy się do przyswojenia, często dorywczego i powierzchownego, zdobyczy i haseł zagranicznych, bez krytycznej oceny, czy są to szczere ziarna prawdy, czy reklamowana tandeta, czy odpowiadają naszym potrzebom i stosunkom, czy może są źródłem słabości i rozstroju, czy będą cennym pokarmem, czy zarodkiem chorobotwórczym lub nowotworem złośliwym, dającym zgubne przerzuty. Jaskrawym przykładem: hasło jednakiej dla wszystkich siedmioletniej szkoły powszechnej, której realizacja dosłowna pociągnęłaby obniżenie kultury, niwelując do szarego tłumu jednostki wybitne. Organizacja, odpowiadająca niektórym okolicom Nowego Świata, u nas nawet w dalekiej przyszłości nie ma widoków pełnej realizacji, ale natomiast może stać się źródłem niezdrowej zawiści i pożądań.

Brak samodzielnej pracy twórczej na polu pedagogiki teoretycznej, brak szerszych zainteresowań na tem polu nawet wśród sfer nauczycielskich powoduje, że nie tylko sami nie dokładamy do skarbnicy wiedzy w takim stopniu, w jakim moglibyśmy i powinni, ale nie znamy dokładnie zdobyczy zagranicy, a ogół w najlepszej wierze często bierze plewy za dorodne ziarno.

Ponieważ jednak pedagogika jest nauką praktyczną, o szerokiem zastosowaniu społecznem, ujemne skutki jej zaniedbania dają się spostrzec na terenie życia społecznego. Łatwo zrozumieć, jakie niepożądane skutki może za sobą pociągnąć bezkrytyczne naśladownictwo zagranicy, wprowadzanie urządzeń, które nie odpowiadają naszym potrzebom ni stosunkom, próby realizacji teoryj, które i za 50 lat będą zapewne jeszcze tylko pomysłami.

Ale i nasze rodzime pomysły szwankują nieraz z powodu braku naukowych podstaw. Tworzy się systemy szkolne nie tylko na papierze, ale i w praktyce, kierując się nierzadko fantazją, bez naukowego zbadania podstaw, idąc bezkrytycznie śladami tradycji lub ulegając modzie czasu albo zagranicy, czy też dogadzając pewnym doktrynom politycznym, nie rzadko nawet mylnie pojętym. A przecież jak ważne są tu nawet eksperymentalne badania, świadczy choćby praca dr. B. Nawroczyńskiego, wykazująca, jak wielki wpływ na wynik pracy ma odpowiednie ugrupowanie i dobór młodzieży. Tymczasem tradycyjna praktyka uświęciła wręcz przeciwne postępowanie, uważając za najbardziej pedagogiczne unikanie wszelkiego doboru, mieszanie typów i zdolności w mylnem przypuszczeniu skuteczności działania na masy znaczniejszych talentów. W rzeczywistości doświadczenie wykazuje odwrotną asymilację i obniżenie lepszych, gdy przeciwnie łatwość zgrania się elementów podobnych podnosi wydajność zbiorowiska tak, że nawet grupy, złożone z jednostek słabszych, dają wyniki lepsze, niż w towarzystwie różnolitem.

Inny przykład. Praktyka wykazuje, że języków łatwiej się uczy w młodszym wieku, niż później. Tymczasem właśnie nowe plany przesuwają naukę języków na dalsze lata. Zapewne, jeśli chodzi o zrozumienie ducha właściwości językowych, wgłębienie się w piękno literatury obcej, na to potrzeba większej dojrzałości umysłowej, ale jeśli chodzi o zdobycie biegłości w opanowaniu języka, a to cel pierwszy i w większości wypadków zasadniczy, jeśli nie jedyny, wczesna nauka jest łatwiejsza i daje trwalsze owoce. Jak zaś papierowe są niektóre pomysły organizacyjne, świadczy fakt, że typ gimnazjum, uznany przez organizatorów naszego szkolnictwa za najgorszy, przeznaczony na stopniowe wymarcie, właśnie najbujniej się pleni i to nawet w dzielnicach, gdzie przedtem nie był wcale pospolity. Większość naszych szkół średnich— to gimnazja humanistyczne, świadczące, że ogół nie chce zrywać z łaciną, choć nie myśli zamykać się w klasycyzmie i rezygnuje z greki. Natomiast typ najlepiej i najkonsekwentniej pomyślany, gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, nie jest wcale tak częsty, a co gorsza nie przedstawia się tak, jak powinien, z powodu ubóstwa niezbędnego wyposażenia materjalnego.

Podobnie i w zastosowaniu szczegółowych zabiegów metodycznych. Usunięto np. za przykładem zaborców tak ważny czynnik wychowawczy, jak współzawodnictwo, zaciera się nawet jego ślady w szkole, a przecież miałem sposobność przekonać się, że u nas zwłaszcza czynnik ten stosownie pokierowany mógłby być nader dodatnim i silnym bodźcem w dążeniu do ideału.

Nowe plany i programy wymagają właściwych metod. Potęguje to trudności i domaga się kultywowania nauk pedagogicznych, tak w kierunku teoretycznym, jak i praktycznym. Gdy dawniej początkujący nauczyciel mógł sięgnąć pamięcią w przeszłość i ze wspomnień szkolnych wybrać wzory, dodatnie i ujemne, postępowania, dziś jest to wprost wykluczone, a właściwe użycie metody decyduje właśnie o owocności jego pracy i grzechy pod tym względem mszczą się na uczniach, którzy opuszczają szkołę ani formalnie ani materjalnie nie przygotowani do studjów akademickich, dostarczając zawiedzionych malkontentów, nawet wykolejeńców, tworząc prawdziwy balast i obniżając coraz bardziej poziom prac w uniwersytetach.

A dotyczy to nie tylko strony dydaktycznej lecz i wychowawczej, która wobec ciągłej demokratyzacji materjału uczniowskiego coraz więcej wysuwa się na czoło zadań szkoły. Zaleca się np. organizację samorządów i gmin szkolnych; tymczasem znaczna większość nauczycielstwa zupełnie nie jest przygotowana nawet do łatwiejszego prowadzenia kółek naukowych, które w nauce średniej inaczej winny wyglądać, niż w uniwersytecie, a nie mając owej wrodzonej „iskry bożej", ulega modzie i „naciskowi z góry", wypaczając i dyskredytując instytucję, przynosząc też często więcej szkody, niż pożytku

Wobec tego należałoby pomyśleć o naprawie. Powinno się dążyć do zorganizowania lub powiększenia ilości katedr nauk pedagogicznych na uniwersytetach, by stały się one ośrodkami twórczej pracy naukowej w tej dziedzinie. W razie braku wykwalifikowanych kandydatów należałoby ich jak najrychlej wyrobić, dać im możność poznania zdobyczy i urządzeń zagranicznych. Bez tego działalność ministerjalnej Komisji Pedagogicznej będzie stale chromać, a zresztą nie znajdzie oddźwięku tam, gdzie należy. Odpowiednie zorganizowanie przygotowania pedagogicznego przyszłych nauczycieli i to z uwzględnieniem upodobań i przyszłej pracy nauczycielskiej, jak również przyszłych badaczy i teoretyków pedagogji po dniesie poziom nauki i zrozumienie jej w społeczeństwie. Tą drogą podniesie się też wartość publikacyj pedagogicznych, u nas wcale licznych, których redaktorowie mają ze swej strony wdzięczne zadanie urabiania czytelników i młodych autorów. Wreszcie pomoc z innych dziedzin: rozkwit ogólny nauk, a w szczególności tych, które się wiążą z pedagogiką, współpraca czynników społecznych, zrozumienie z ich strony i pomoc materjalna.

Żyjemy w czasach wyjątkowo ciężkich i trudnych nie tylko pod względem ekonomicznym. Formują się nowe postaci życia zbiorowego. U nas przemiany te są jeszcze głębsze, niż gdzieindziej, bo z okresu wiekowej niewoli przeszliśmy w stadjum budowania wolnego państwa. Tworzymy nową szkołę samodzielną, nie modyfikację którejś ze szkół zaborczych. Ta szkoła ma być polska nie tylko z nazwy. A w takim razie nie można się obejść bez samodzielnych badań naukowych, które potem praktyka spożytkuje w mniejszym lub większym zakresie. Potrzeba nam nie tylko dobrych nauczycieli praktyków, ale i uczonych badaczy, teoretyków pedagogji, którzy stworzą nam oryginalny system polskiej pedagogiki.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

NAUKA I LITERATURA

NOWA KSIĄŻKA E. DURKHEIMA

Z RĘKOPISÓW pośmiertnych E. Durkheima wydano niedawno książkę p. t. „*L'éducation morale*“. I nazwisko autora, jednego z najświetniejszych socjologów i problem, jeden z najbardziej palących, skłaniają do zaznajomienia się z tem dziełem.

Składa się ono z dwóch części: w pierwszej autor określa istotę i elementy moralności, w drugiej zastanawia się, w jaki sposób wpoić je w młodzież.

Wyróżnia trzy elementy rzeczywistości moralnej: 1) dyscyplinę, 2) przywiązanie do grup społecznych, 3) autonomję woli. Moralność to przedewszystkiem system reguł, zalecających określone sposoby postępowania. Wymaga więc nasamprzód regularności w życiu człowieka, a powtóre uznania przez niego pewnego autorytetu, zdolnego polecać i nakazywać. To poczucie regularności i poczucie autorytetu składa się właśnie na istotę dyscypliny. Nie trzeba w niej widzieć środka gwałcącego swobodny rozwój jednostki. Dyscyplina właśnie zapewnia jednostce szczęście i harmonijny rozwój; życie bowiem to osiąganie pewnych celów, a nie dążenie bezkresne; człowiek szczęśliwy jest, gdy coś osiąga; zawiedziony i cierpiący — gdy nieskrępowany dąży w nieskończoność i nic nie zdobywa. Dyscyplina właśnie, nie broniąc celów wyższych, lecz osiągalnych, wytwarza w człowieku skupienie sił, potrzebne dla działalności konkretnej, ochrania od rozproszenia energji. Tem zapewnia tężyznę ducha, owocność prac—i szczęście. Ale dyscyplina to tylko formalny element moralności. Treścią jej reguł jest to co, dobre dla społeczeństwa. Służyć społeczeństwu—to znaczy przyczyniać się do rozwoju tych wartości, które z nas, jednostek fizycznych, czynią coraz pełniejszych ludzi; to znaczy zapewniać dobro współczesnym i przyszłym pokoleniom—rozwijać wartości idealne, pomagać ludziom.

Lecz aby działać moralnie, nie wystarcza uznawać dyscyplinę i być związanym z grupą społeczną, trzeba jeszcze działać z własnej woli, a nie w stanie kary. A działać z własnej woli można wtedy, gdy się wartość norm moralnych rozumie i potrafi uzasadnić przed sobą i drugimi.

Oto są istotne elementy moralności, które w młodzież należy wpoić.

Nasamprzód więc mamy ją przyzwyczaić do dyscypliny—czyli wpajać w wychowanków ideę regularności, ideę autorytetu, ideę rządzenia sobą i ograniczania popędów własnych. Jest niezmiernie ciekawe to wszystko, co Durkheim mówi na temat roli i zadań dyscypliny szkolnej; staje się ona istotnie potężnym środkiem wychowania moralnego — i dlatego w szkole musi być na nią położony nacisk ogromny.

Ale dyscyplina to mało. Trzeba jeszcze związania z grupą społeczną. Lecz jaką i jak?

Otóż kultura i jej rozwój opiera się na narodach. Naród jest grupą społeczną żywą i posiadającą własną osobowość. Ludzkość to tylko abstrakcja. Przeto jedynie naród być może taką grupą społeczną, na której można oprzeć moralność. Najlepsza służba ideałom ludzkim—to służba narodowa. A skoro tak, to wychowanie moralne musi być wychowaniem narodowem. I tutaj nauka historji ma ogromne znaczenie: powinna rozbudzić w wychowanku poczucie związku ze społeczeństwem, z umarłymi i żywymi, z duchem narodu, pokazać istotne jego potrzeby dzisiejsze i przekonać, iż wobec deterministycznego rozwoju historycznego, nie bunt, ale radosne wykonywanie służby społecznej, to nie tylko najlepsza służba ideałowi wszechludzkiemu, ale i najpiękniejsze rozwijanie własnej duszy.

Związanie zaś wychowanków z grupą narodową jest jednocześnie wykształceniem altruizmu wogóle. Bo altruizm—i tu rozwija Durkheim ciekawą teorję—to przywiązanie do jakiejś innej rzeczy. niżli ja sam, przywiązanie powstające jednak dzięki temu, iż blizki związek owej rzeczy ze mną uznaję i rozumiem. Przeto: kształcić altruizm to znaczy rozszerzać świadomość dziecka poza ciasny zakres jego potrzeb organicznych, ukazywać mu przedmioty i idee, które uznaje za związane ze sobą.

Skoro w ten sposób zwiążemy młodzież z narodem i wyrobimy w niej altruizm—to będzie ona wypełniała reguły moraine nie z musu—ale z wewnętrznej potrzeby. Uzyskaliśmy więc i trzeci element moralności.

Jest w książce Durkheima wiele myśli takich, które zasługują na obszerniejsze rozwinięcie, warto więc w zakończeniu tej wzmianki zwrócić przynajmniej uwagę na najważniejsze. Ciekawą jest próba określania elementów moralności świeckiej, próba płynąca z przekonania, iż religja nie każdemu wystarcza dla usankcjonowania reguł moralnych. Głęboko ujmuje moralną rolę i znaczenie dyscypliny i kar w życiu społecznem wogóle, a szkolnem w szczególności. Ciekawie oświetla stosunek moralności do grup społecznych, a głównie narodu. Daje interesującą teorję altruizmu. Przeprowadza na podstawie potrzeby jednolitej edukacji moralnej—systematyzację nauk i wyznacza doniosłą rolę obok historji—naukom przyrodniczym. W wychowaniu moralnem kładzie nacisk na treść reguł moralnych—zastanawia się nad nią, choć dotychczas uważało się to za proste i oczywiste, a zajmowano się głównie problemem: jak wpajać zasady moralne. Uwydatnia związek i zależność treści tej od stanu rozwoju i potrzeb społeczeństwa.

Oto są niektóre najciekawsze myśli—rozwijane zresztą i w dawniejszych rozprawach Durkheima, ale wciąż równie żywotne i zasługujące na baczniejszą uwagę.

BOHDAN SUCHODOLSKI

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Pseudonim Ordon, którego nowelę „Panikę“ dziś dajemy, ukrywa nazwisko młodego pisarza, co od lat wielu, gnany żądzą przygód, przebywał z kowbojami w górskich stepach Kanady, wiele podróżował, obecnie bierze udział w jednej z wypraw afrykańskich. Obraz, mający na celu uchwycenie nastroju paniki zwierzęcej, niewątpliwie zainteresuje czytelników egzotycznością i temperamentem pisarza.

*

Jeden z bardzo nielicznych w Polsce ludzi, poważnie zajmujących się filozofją sztuki, wytworny pisarz i uczony erudyt prof. Michał Sobeski, wydał ostatnio zwięzłą, ale nader ciekawą i pożyteczną broszurę p. t. „Malarstwo doby ostatniej. Ekspresjonizm i kubizm“. W sposób sumienny i objektywny zaznajamia w niej czytelnika zarówno z podstawami ideowemi obu tych prądów, jak i z ich dotychczasowemi wynikami. Uwagi krytyczne, wypowiedziane o obu kierunkach (autor niesłusznie może z większą sympatją odnosi się do kubizmu, niż do ekspresjonizmu) powinnyby w świecie malarskim wywołać zainteresowanie i dyskusję.

W naszych stosunkach, gdzie nietylko wśród szerszych kół publiczności, ale nawet wśród krytyków i malarzy panują na temat „nowych prądów w sztuce“ najbardziej fantastyczne przesądy, ostatnia praca prof. Sobeskiego rzetelne może oddać usługi, choćby ze względu na zawarty w niej materjał informacyjny.

*

Ukazał się pierwszy tomik (od litery A. do G.) „Współczesnej Encyklopedji Politycznej“, opracowany przez prof. dr. Antoniego Peretiatkowicza. Pisana zwięźle, dla każdego zrozumiale, opracowana ściśle i sumiennie, nowa książka wybitnego znawcy prawa konstytucyjnego z pewnością przyda się każdemu czytelnikowi gazet, uzupełniając i porządkując posiadane przezeń wiadomości. Cenne zwłaszcza są liczne życiorysy polityków polskich i zagranicznych, dane, dotyczące stronnictw politycznych i prasy, oraz dział informacyj z dziedziny gospodarczej i skarbowej. Ścisłość definicyj, najdalej posunięty objektywizm, stanowią wybitne zalety „Encyklopedji“. Pierwszy tomik ozdobiony jest portretami: Benesza, Brianda, Chamberlaina, Coolidge'a, Cziczerina, Dmowskiego, Mussoliniego, Focha i Wład. Grabskiego.

NA MARGINESIE

Żydzi w Wilnie wystąpili z podatkowych komisyj szacunkowych, ponieważ nie liczono się, jak należy, z ich opinją przy wymierzaniu Żydom podatków. Jednocześnie kupcy żydowscy odmówili płacenia podatków. Przyjechał z Warszawy delegat min. skarbu i przeprosił Żydów, zapewniając, że nadal „opinja członków komisji będzie honorowana". Żydzi obiecali, że będą płacić podatki.

Rzeczpospolita cnotami stoi, trzeba tylko wiedzieć, komu jaką cnotę zalecić. Żydom się chwali solidarność, Polakom ustępliwość. Gdyby ten porządek odwrócić, nie byłyby to cnoty, lecz występki, z których trzebaby się było spowiadać przed Ligą Narodów.

*

„Wiadomości Literackie", jak można było przewidywać, zamieściły z powodu śmierci Żeromskiego dytyramb, pozbawiony umiaru i smaku, reklamiarski, a więc przykry i jako hołd pamięci zmarłego całkiem niewłaściwy:

„Niedościgły artysta, natchniony poeta—wypełniał po przegi nasze serca uszlachetniającem wzruszeniem i niema wśród nas takiego, ktoryby o jedną (?) jakąś lepszą cząstkę nie był bogatszy za sprawą szczodrobliwej wielkości Jego genjuszu... Polska w ten jeden ranek listopadowy zubożała i przygasła, jak dom ubogi (!), z którego anioł śmierci wyniósł płonące łuczywo"...

Pompatyczność tych słów nieodparcie nasuwa przypuszczenie, że pisał je jeden z filarów „Wiadomości", p. Leon Pomper...

*

Podnosiliśmy już nieraz z ubolewaniem łobuzerski charakter naszych obyczajów publicznych, nadawany niestety przez piśmienną inteligencję. Oto np. w tygodniku pewnym, „poświęconym sprawie s a n a c j i stosunków", spotykamy taką dyskusję redakcji z napadniętym admirałem S.

— Ależ panowie, — brzmi sprostowanie — co wy piszecie że ja grywam całe noce bakarata, kiedy ja nawet nie umiem tej gry.

— Pan nie rozumie nawet, co się pisze; pisaliśmy, że Pan „gotów był grać całemi nocami w baka. Gotowość do czegoś, a spełnianie tego czegoś — to nie to samo, Sz. panie admirale!"

Pewiecie może, że to śmieszne. Nie — to jest okropny widok, w czyje to ręce dostały się druk i... sanacja stosunków. Na takim poziomie życia publicznego nie można nic budować.

*

Około 4000 spraw wpływa rocznie do Najwyższego Trybunału Administracyjnego, w 60— 70% słusznych. Przeważnie są to skargi na postępowanie władz skarbowych. Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego w swoim czasie wyznaczony został osobny fundusz na dodatkowe wynagrodzenie urzędników skarbowych. Ażeby tyle nabroić, potrzeba było rzeczywiście wielkiego nakładu pracy. Ale kto za nią wynagrodzi Trybunał Administracyjny?

*

Olbrzymi deficyt teatrów warszawskich, które w naszem gospodarstwie miejskiem są największą beczką Danaid, okazał się wynikiem żądań i wpływów lewego skrzydła ustawodawców magistrackich. Nie można ich za to potępiać. Oni także są ludźmi, oni również potrzebują pewnych przyjemności, których dostarczyć może tylko teatr, oni przecie mają prawo sięgania do naszych kieszeni po opłatę za ich „radość życia". Kto się nagada, lub tylko nasiedzi w radzie miejskiej, ten zasłużył na bezpłatny fotel w teatrze i uśmiech ładnej aktorki.

*

Podczas tworzenia rządu, do którego chciało wejść podobno kilkuset amatorów, *Rozwój* zamieścił wiersz p. t. *Do korytka, do korytka.* Minister skarbu utworzał komisję oszczędnościową pod przewodnictwem dawnego Syzyfa tej pracy, p. Moskalewskiego. Jeżeli będzie chciała i jeżeli jej „miarodajne czynniki" pozwolą, będzie ona miała dosyć do roboty, ale przedewszystkiem powinna zacząć od usunięcia... korytek. One bowiem głównie podnoszą drożyznę, a obniżają kurs złotego. Bez formalnego upoważnienia, ale z wiarą, że byłoby nam udzielone, oświadczamy w imieniu społeczeństwa obdartego, ogłodzonego, doprowadzonego do nędzy, oświadczamy, iż ono nie chce dłużej dostarczać środków na „korytka".

*

Krąży wieść, że po ogłoszeniu nowego rządu ułożony został osobliwy pacierz, w którym wymienione są nazwiska wszystkich ministrów; przy jednych dodano: „święć się imię twoje... chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... bądź wola twoja", przy innych: „nie wódź nas na pokuszenie i zbaw nas od złego", przy paru wyliczono grzechy główne.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

S e j m uchwalił *votum* zaufania dla rządu koalicyjnego p. Skrzyńskiego. Przeciwko rządowi głosowały: „Wyzwolenie" grupa Bryla, mniejszości słowiańskie i komuniści. Od głosowania powstrzymali się: Klub Chrześć.-Narodowy, Niemcy i Żydzi.

M i n i s t r e m s p r a w w o j s k o w y c h mianowany został generał broni Lucjan Żeligowski.

M i n i s t e r s k a r b u Z d z i e c h o w s k i zapowiedział na posiedzeniu zwołanego przez siebie komitetu budżetowego, iż wydatki państwowe na r. 1926 muszą być zmniejszone o 500 miljonów złotych.

W i c e m i n i s t r e m s k a r b u mianowany został p. August Popławski.

N a w i c e m a r s z a ł k ó w S e j m u wybrani zostali: pos. Jan Dębski (P. S. L. „Piast") i pos. Ignacy Daszyński (P. P. S.).

B i s k u p e m k o a d j u t o r e m djecezji chełmińskiej mianowany został ks. St. Okuniewski. Dotychczas stanowisko to zajmował ks. dr. Klunder (Niemiec).

SPRAWY ZAGRANICZNE

P r e m j e r S k r z y ń s k i udał się do Londynu celem podpisania w imieniu Polski traktatów locarneńskich.

P a r l a m e n t n i e m i e c k i uchwalił 291 głosami przeciwko 174 ratyfikację umów locarneńskich.

P r z e s i l e n i e g a b i n e t o w e w e F r a n c j i, wywołane dymysją rządu Painlevé'go, zakończyło się powołaniem nowego rządu o charakterze centrowym, pod przewodnictwem dotychczasowego ministra spraw zagranicznych, Brianda.

W w y b o r a c h do sejmiku prowincjonalnego na Śląsku Opolskim lista polska zdobyła 4 mandaty.

O j c i e c Ś w i ę t y skierował do biskupa żmudzkiego wezwanie, nakazujące duchowieństwu litewskiemu powstrzymanie się od akcji politycznej.

KRONIKA ŻAŁOBNA

W Ł a g i e w n i k a c h na Górnym Śląsku zamordowany został miejscowy działacz narodowy, ś. p. Marjan Szańkowski. Zabójcami są Niemcy, prawdopodobnie członkowie bojówki.

Z m a r ł znany malarz - pejzażysta ś. p. Stanisław Straszkiewicz.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu J. Ch. w S. Towarzystwo Miłośników języka polskiego ma swoją siedzibę w Akademji umiejętności w Krakowie. Członkiem może być każdy, kto opłaci rocznie 3 zł. Członkowie wspierajacy płacą 6 zł. Za tę wkładkę członek otrzymuje doskonałe czasopismo „Język polski" (rocznie 6 zeszytów). Tow. korzysta z zasiłku rządowego, dlatego tak tanie jest to pismo. Redaktorami są słynni językoznawcy prof. Łoś, Nitsch i Rozwadowski. Obecnie z powodu wyjazdu prof. Nitscha zagranicę adresować trzeba listy w sprawie Tow. i pism: prof. J. Łoś, Kraków, ul. Kapucyńska 7. — Składki wysyłać należy przy pomocy PKO, a numer Tow. Mił. Jęz. Pol jest: 148.829. O roczniku ostatnim „Języka Polskiego" pisał obszernie w „Myśli Narodowej" (w nr. 8) p. Józef Birkenmajer.

Panu J. K. W nr. 9 piszemy o tem w rubryce „Na marginesie". Jest to specjalna etyka talmudyczna, która zaraża nasze społeczeństwo.

Junak. Nie możemy nadesłanych poezyj wydrukować, nawet za darmo, bo są niezrozumiałe i nieforemne. Co Pan chciał powiedzieć np. w strofie:

Od atomu do człowieka,
Od człowieka do bogów
I w cichy wiek Melchizedeka
Od dźwięku cytr i rogów.

Niema tu ani podmiotu ani orzeczenia, a na końcu punkt. Czytelnik nie wiedziałby, co z tem zrobić.

Ks. L. W. Wydając pismo dla ludzi oświeconych, liczymy na to, że potrafią rozróżnić wartość myśli przewodniej od drastyczności tematu. Czyżby ksiądz nie zauważył w tym utworze myśli moralizatorskiej, dla której był napisany? To bardzo przykre. Prosimy zaufać, że nic złego księdzu nie grozi od tego, co piszemy. Uwzględnić prosimy świecki charakter pisma i trochę wejść w intencję towarzystwa, zajmującego się literaturą.

Panu Zdz. Sm. Dziękujemy serdecznie za jednanie prenumeratorów. Zł. 48 otrzymaliśmy, pismo rozesłane według adresów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.